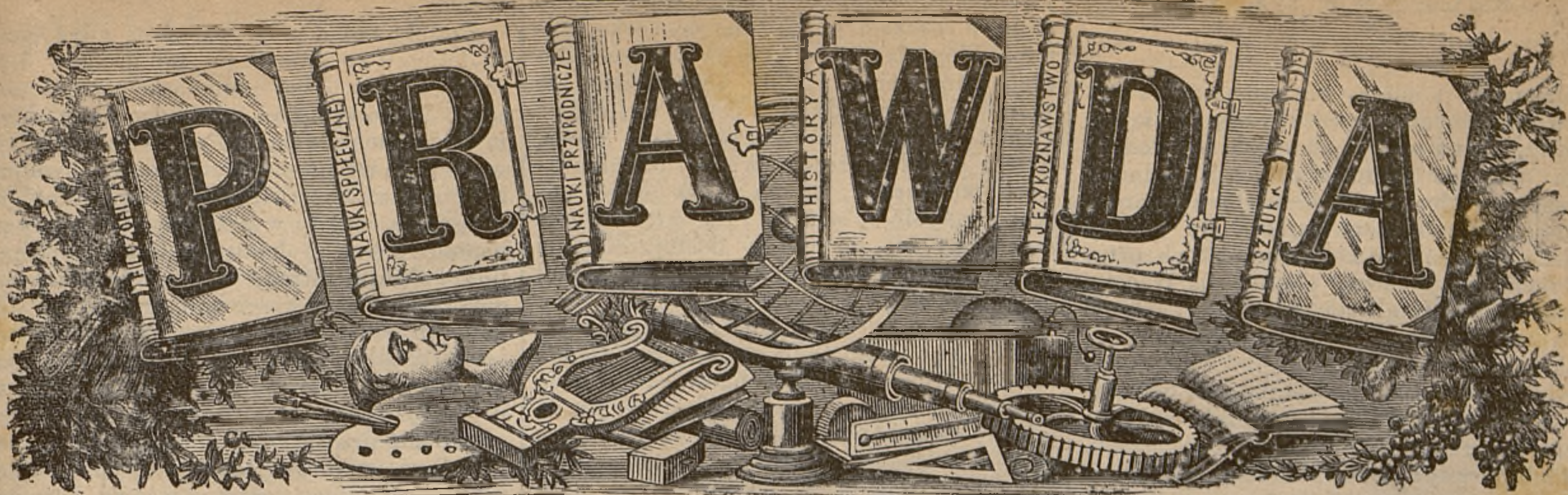
№ 4. Warszawa, dnia 26 (14) Stycznia 1889 r. Rok IX.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

NOWI ODSZCZEPIEŃCY.

Ks. Bismark sam się nazywał i był nazywany wyobrazicielem myśli i uczuć większości swego narodu. Przeciwnikom w ojczyźnie odpowiadał zawsze: wy jesteście garstką, drobną szczyptą Niemiec, a we mnie wcielają się one całkowicie; dążeń moich nie wytwarzam sztucznie, nie narzucam społeczeństwu, lecz je zeń wydobywam, wysłuchuję, nadaję im tylko siłę, ruch i cele jasno uświadomione. Jeżeli nawet tak było, to dziś widocznie tak nie jest. Kanclerz przestał być ekstraktem większości swego narodu, rozbratał się z nim, poswarzył i dziś panuje nad nim jedynie siłą władzy. Bo rozpatrzmy jego stosunek do rozmaitych żywiołów według ich przedstawicielstwa w parlamencie. Katolicy (centrum) go nie lubią za prześladowania religijne, za gwałty, wreszcie za wyzyskanie przeciw nim stosunku przyjacielskiego z papieżem. Postępowcy go nie cierpią za upodobania wsteczne, za samowolę, za naruszanie lub ograniczanie swobód konstytucyjnych, za usuwanie ich od udziału w życiu państwowem. Socyaliści go nienawidzą za prawa wyjątkowe, za tyranię i okrucieństwa, za obłudną opiekę nad klasami roboczemi. Pomimo ustępstw dla narodowo-liberałów, pomimo rozmaitych zboczeń ku lewicy, pomimo brutalnych wyłomów w twierdzy zachowawczej, w orszaku jego trzymali się konserwatyści. Ale nakoniec i ci stracili cierpliwość. W tej chwili właśnie odbywa się ciekawy bunt tego wiernego zastępu przeciwko hetmanowi. Iskrą zapalającą wybuch stała się sprawa Geffckona, ale materyały palne gromadził czas długo. Kilkakrotne złamanie przez kanclerza praw dynastycznych w państewkach Rzeszy, zuchwale ujawniona nieprzyjaźń dla Fryderyka III a zwłaszcza dla jego żony, uznanie papiestwa za wewnętrzną instytucyę Niemiec, inne wreszcie przemiany kameleonowe dawno już raziły surowych junkrów, przywiązanych do tronu i protestantyzmu. Dopóki Bismark był Jowiszem i zagłuszał niezadowolenie hukiem swych piorunów, pochylano przed nim głowy; ale skoro olbrzym stał się zrzędnym, niecierpliwym, cierpkim i despotycznym starcem, który już nie imponuje swą wielkością, a drażni samowolą, głowy to nagle wyprostowały się. *Kreuzzeitung*, organ feudałów, zaczęła naprzód szemrać, a wreszcie — jak mówią niemcy — zdjęła z ust swych listek i przemówiła wyraźnie przeciw bożyszczu. „Uczuciu monarchicznemu patryotów staropruskich—pisze ona — wypadki ostatnich miesięcy zadały cios głęboki. Już oburzającem było zachowanie się większości dzienników niemieckich po znanem zebraniu u hr. Waldersee (na którem związano Stöckera z obecnym cesarzem), kiedy prasa nasza na wyścigi z żydowsko-liberalną prasą zagranicy obrzydliwie oczerniała członków dynastyi i obrzucała ich brudnemi posądzeniami. Również zasługuje na potępienie taktyka prasy kanclerskiej, która podczas pogłosek o dymisyi ks. Bismarka stworzyła osławione hasło: „precz z polityką fartuszkową!" i ubliżała niem małżonce Fryderyka III. Niebywałe zaś wciąganie osoby monarchy w wir walk stronniczych (dokonane przez hr. Douglasa i jemu podobnych) w prawdziwym patryocie rojaliście wywołuje równy gniew i oburzenie, jak najświeższe ogłoszenie aktu oskarżenia przeciw Geffckenowi, będące po prostu targnięciem się na zasadę monarchiczną."

Tak dziś do nieomylnego kanclerza przemawiają ci, którzy dotąd przed nim na twarz padali. Stanowczo „czasy się zmieniają i ludzie w nich." Od takiego bluźnierstwa dawniej uschłby język junkierski, dziś on się niem śmiało smaruje. Jeżeli tedy nawet konserwatyści — ci Brutusi Cezara — pomnożyli zastęp „wrogów państwa," któż jeszcze pozostał w orszaku wiernej służby? Wolno-konserwatyści i narodowo-liberalni, „chór landratów" — jak ich nazwał Richter, gromadka najmitów bez zdania i godności, gotowych do wszelkiego marszu i zwrotów według komendy. *Nordd. Allg. Ztng* polemizuje ze zbuntowanymi, ale chociaż ona robi minę bezczelną, to jeszcze nie znaczy, że jej pan nie ma strapionej. Bo ostatecznie na kim się oprze ten „wyobraziciel myśli i uczuć większości narodu"? Na swej służbie? To nie wystarczy ani jego dumie, ani sile. Przypuśćmy jednak, że zbuntowana kohorta powróci do obozu wodza — nie będzie ona już uległą i nie zatrze złego wrażenia. W pamięci społeczeństwa pozostanie ślad tej konfederacyi, który osłabi jeszcze bardziej nadwątloną wiarę w majestat kanclerski. Bismark, który nie dyktuje, lecz przyjmuje warunki, nie będzie już Bismarkiem ósmego dziesiątka lat stulecia bieżącego, który panował wszechwładnie i rozkazywał bez oporu. Już go nie uwielbiają, ale szanują i strofują jak starca, który nadużywa swego stanowiska i nie posiada zaufania poddanych. Zaczynają oni go poprawiać, uczyć, napominać, karcić, już się nie boją ani nazwy „wrogów państwa," ani szpicruty i krzyku: *l'etat c'est moi*. Państwo — to my, wołają dziś śmiało.

Rozprzęga się więc i rozkłada kult bismarkowski, odszczepieństwa i bluźnierstwa występują w nim coraz liczniej i coraz głośniej. Dalaj-Lama we Friedrichsruhe, którego słuchały miliony, schodzi na kapłana parafii narodowo-liberalnej i wolno-konserwatywnej. Tego nie spodziewał się doczekać.

SZCZERY GŁOS.

Dzienniki i pióra ultramontańskie fałszywie zazwyczaj przedstawiają istniejący stan rzeczy na półwyspie włoskim. Podług nich większa część tamtejszej ludności i wszystek kler bez różnicy stopnia gorąco obstają za powrotem papieża do władzy świeckiej. Państwo kościelne jest ich ustawicznem marzeniem, obecne zaś Włochy i rząd króla Humberta napawają jedynie wstrętem tą trzodę bogobojnych duszyczek.

Niemiłą więc niespodzianką dla przewodników owego stronnictwa stała się broszura ks. Arcangela Rotunno, proboszcza w Paduli, gdyż rzuca ona odmienne światło na uczucia włoskiej ludności po wsiach i miastach.

Praca jego rozpada się na dwie części. W pierwszej wychodzi na jaw głęboka wiara autora w dogmaty i tajemnice katolickie, z przejęciem bowiem opowiada o cudach, zdziałanych przez obraz N. Maryi Panny, zdobiący padulański kościół. Lecz i tu już znajdujemy jeden szczegół dodatni, a świadczący, że autor kocha Włochy. Oto żołnierzy Garibaldi'ego, spoczywających na parafialnym cmentarzu, uczcił on mianem bohaterów. Jaskrawo odbija ta zaszczytna nazwa od przekleństw, rzucanych przez głowy i dostojników kościoła.

Część drugą, w której streścił swe przekonania polityczne i spostrzeżenia społeczne, rozpoczyna bardzo znamiennem i wiele mówiącem opowiadaniem.

„Miałem sen — pisze. Zdawało mi się, jakobym siedział w jednej z wielkich sal watykańskich. Papież, z wyrazem twarzy i nieco poważnym i nieco żartobliwym, spoczywał w zwyczajnym fotelu z drzewa orzechowego; ja i kilku przyjaciół siedzieliśmy z gałązkami oliwnemi w ręku na długiej ławce zielonem suknem obitej. Nagle wszyscy, z wyjątkiem mnie jednego uklękli przed papieżem, by ucałować jego stopy, on jednak podniósł ich z ziemi i wręczył im do pocałunku prawicę. Wówczas zawołałem: „Ojcze święty, nikt nie kocha cię i nie uwielbia więcej odemnie, nie jestem przecież w stanie ucałować twej dłoni, a tem bardziej twej stopy, dopóki nie pobłogosławisz Italii, twej matki, a zarazem pierwszej ze wszystkich krain ziemskich.“ A mówiąc te słowa, ośmielony jego łagodnym wyrazem twarzy, chwytam za rękę papieża, podnoszę ją, potem schylam, przesuwam w lewo i w prawo, czyli robię znak krzyża, wreszcie zaś wołam donośnie: „Italio, matko moja, a zarazem najukochańsza córko, ciebie to błogosławię od Alp aż do przeciwległych kończyn, Italio, błogosławię cię w imieniu Ojca, Syna i Ducha świętego.“ Papież powtarzał za mną powyższe słowa, w tem wpadło szościu wielce rozgniewanych kardynałów. Na ich widok papież począł trząść się ze strachu i umilkł; wówczas rzuciliśmy się na owych dostojników, ci uciekli, lecz wraz z nimi i sen mój minął bezpowrotnie.“

Po owym wstępie Don Arcangelo streszcza swe przekonania polityczne. Ugodę między Kuryą a Włochami zasadza na zrzeczeniu się jej wszelkich uroszczeń de władzy świeckiej. Wychodzi z założenia, że przyjdzie dzień, w którym papież z przyjemnością powita w Rzymie króla włoskiego jako równego sobie, prawowitego władcę. Politykom Watykanu stawia jasno przed oczy niemożliwość, by król włoski gdzieindziej miał swą stolicę, niż w Rzymie. Kurya tedy powinna uznać czyny spełnione, istniejący stan rzeczy, a wówczas nastąpi niezamącony spokój.

Słowem, z pod pióra tego pobożnego proboszcza płyną zapatrywania, które urzędowi inkwizytorzy zowią bluźnierstwem, wypływem niewiary i złorzeczeniami cywilizowanych pogan. A tu na nieszczęście głosi to osoba duchowna, która prałatom przypomina słowa Jezusa: „Królestwo moje nie jest z tego świata.“ Przytem robi słuszną uwagę, że i tak duchowa władza i poważanie papiestwa wzrosły w Europie od 1870 r., a więc papież nie ma potrzeby i nie powinien zajmować się troskami maleńkiego władcy świeckiego. Don Arcangelo wyraża wreszcie przekonanie, że dzień tej zgody zaświta z pewnością w chwili, kiedy umrze ostatni kardynał, mianowany za czasów Państwa kościelnego. Człowiek bowiem taki, nawykły do przepychu i do władzy, niczem nieograniczonej, nie może przyzwyczaić się do posłuszeństwa wobec tych, po karkach których przed dwudziestu laty bezkarnie stąpał. Kardynałowie i prałaci, którzy napełniali setkami ofiar bezdenne, ciemne i nieludzkie więzienia, dzisiaj sami muszą stosować się do ustaw świeckich. Dostojnicy duchowni, którzy swej rodzinie zostawiali w spadku po kilka milionów lirów, czerpanych bez nadzoru i samowolnie z grosza publicznego, z podatków, składanych przez najbiedniejszych, dzisiaj muszą ograniczać się na rocznym dochodzie kilkudziesięciu tysięcy. Tylko ci więc życzą sobie powrotu dawnych czasów i związanych z niemi korzyści pieniężnych, oraz uroków władzy.

Zresztą zgoda musi nastąpić, gdyż samo społeczeństwo kroczy po tej drodze. I tu rozwija autor przed nami obraz pożycia niższego duchowieństwa włoskiego po małych miasteczkach i wsiach. Proboszcz nigdy nie występuje wrogo przeciw rządowi, owszem żyje on z burmistrzem i podprefektem w zgodzie, często w przyjaźni. „Pokojowo usposobionych proboszczów jest niezliczona ilość i skrajni ultramontanie małą stanowią garść... Tuż przy kościele i probostwie stoi pałac prefektury lub ratusz, tam sługa kościoła, tu sługa państwa wypełnia swój obowiązek względem społeczeństwa, wzajemnie pomagając sobie radą i czynem, jeden drugiemu nie przeszkadza, nie wkracza w zakres jego czynności... Jest to wyborna szkoła dla ludu, który patrzy na ową łączność i uczy się z niej wiele, bardzo wiele.“

Na zakończenie swych wywodów zwraca się Don Arcangelo do całego niższego kleru z prośbą, by ową zgodę z rządem wspierać, wzmacniać i rozszerzać. „Bądźcie dobrymi synami Italii — napomina opornych. Młodzi księża niech kochają lud, zmniejszają mu jego cierpienia i bronią uciśnionych, siebie zaś samych winni uzbroić w cnotę i naukę — wtedy każdy świecki z szacunkiem, z uwielbieniem pochyli przed nim głowę.“ Jako przykład stawia arcybiskupa neapolitańskiego i biskupa kremońskiego, którzy żyją w zgodzie z rządem włoskim, a w kolegium kardynalskiem są przedstawicielami nowego, pokojowego prądu.

Głos tego nieznanego księdza włoskiego posiada niezmierne znaczenie, pozwolił on bowiem głębiej wniknąć w życie społeczne nowych Włoch. Z kart owej broszury jasno można wyczytać tę prawdę, że nieprzeparta logika czynów dokonanych pcha nietylko ludzi, lecz i całe stronnictwa na drogi wprost przeciwne tym, któremi kroczono poprzednio. Tak było z ks. Bismarkiem, gdy znalazł się nagle wobec zjednoczonych Niemiec, tak jest już dzisiaj z uroszczeniami zwolenników władzy świeckiej papieża. Do niedawna powoływano się na fakt, że życzy sobie tego cały lud włoski, obecnie ów strzał spalił na panewce, a oporne stronnictwo, pozbawione sojuszników i bezsilne, prędzej czy później będzie musiało pogodzić się z rzeczywistością.

N.

---

4)

NIEŚMIERTELNE DUSZE.

III.

REGINA

dramat w trzech aktach

przez

W. Okońskiego.

AKT II.

(Dzieje się w osadzie nadmorskiej „Regina“—sułtaństwa Witu. Obszerna, skromnie umeblowana izba mieszkania Reginy i Makarego).

SCENA I.

Dżak i Wanika, później Regina.

Dżak (dobywa z pak i podaje Wanice rozmaite pudła i przedmioty, która je rozwija i ustawia).

Żeby słońce nie pofarbowało nam skóry odcieniami a rodzice nie opieczętowali na gębach, tobyśmy mniej wiedzieli o swych gniazdach, niż jaskółki. Matki składają dzieci jak ryby ikrę a handlarz rozpędza je jak orkan po morzu. Was, dziewczyny, ci zbóje wtedy dopiero kupują i sprzedają, kiedy jesteście przydatne do sypialni, a nas już wtedy, kiedy jesteśmy zdolni do roboty. Dlatego ty wiesz, że pochodzisz z ugandów, a ja tylko przypuszczam, żem z urorów, bom do nich najpodobniejszy.

Wanika.

Tak wcześnie cię w świat popędzili?

Dżak.

Pewnie jeszcze Tipu-Tip brody nie miał. Już chyba nazbierałem lat z 50, a on niewiele mnie wyprzedził, bo dotąd harem trzyma i konno jeździ. Pamięć ocknęła mi się pierwszy raz w Chartumie. Wyrosłem w niewoli u jednego plantatora kawy, który był nietylko srogi, ale obmierzły. Ciągle chorował, jeździł nawet dla porady do Kairu. Stamtąd od polskiego lekarza przywiózł kilkanaście małych szklaneczek, które podpalał i przystawiał sobie do piersi, ile razy go zaczęła bóść kolka. Szklaneczki te stłukła mu chowana papuga. Wtedy kazał nam ustami nasysać sobie ciało po całych godzinach. Już ze wstrętu chciałem go zagryźć. Ale pewien stary niewolnik dał mi radę: obetnij — powiada—ucho osłowi drugiego pana, to cię mu oddadzą za wynagrodzenie — taki tu zwyczaj. Stało się, jak rzekł. Zgnilec obił mnie, ale oddał.

Wanika.

U nowego było lepiej?

Dżak.

Nie rozejrzałem się, bo w kilka tygodni z innymi uciekłem.

Wanika.

Nie złapali?

Dżak.

Toż bym przecie u ojca Makarego nie służył i tych pak dziś nie paproszył. Chociaż nie z jednego jeszcze sznurka urwać się musiałem. Towarzysze moi ciągle powtarzali: zmykajmy jak najdalej, gdzie arabowie nie docierają, bo to psy najzażartsze. Zawędrowaliśmy aż do Bakuby. Chciano nas zarżnąć na grobie wodza, który właśnie umarł, ale wyprosiliśmy się, obiecawszy przywieźć soli, którą tam bardzo lubią lizać. Trzeba było znowu uciec. Nazajutrz w drodze spotkaliśmy inne plemię, idące na łowy do lasu, gdzie mieszkali ludzie na gałęziach drzew. Wódz darował nam życie pod

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Najmniej zazdrości godnym jest obecnie los patryoty francuskiego, bo jeszcze łatwiej znieść niedolę ojczyzny, niż hańbę. A Francya nurza się w błocie i nierządzie. Podobnej poniewierki cnót publicznych dawno już Europa nie widziała. To już nie ścieranie się stronnictw, ale jakiś kankan polityczny, rozkiełznanie samolubstwa, wyuzdana opereta. Wszędzie podczas walk wyborczych przeciąga przez kraj zawierucha, pędzą tumany kurzu i spadają ulewy błota; ale to trwa tydzień lub dwa, poczem naród wraca do powagi i spokoju. Tymczasem we Francyi od dawna już nie widzimy nic innego, tylko taki odmęt i szarugę moralną. Kandydaci do mandatów poselskich i ich partye urządzają igrzyska dla tłumu, który nie ma chleba wtedy, kiedy ich przewodnicy tracą miliony na... afisze; po wyczerpaniu kałuży obelg, zaczęto teraz walczyć na ulubioną broń francuzów — na koncepty. Nikt nie może przewidzieć, kto zwycięży, Jacques, czy Boulanger, bo nie wiadomo, który okaże się dowcipniejszym. „Bon-mot" decyduje dziś o przyszłości Francyi. Jeżeli Boulangera nazwano w broszurze „generałem Cynkobrodym," ośmieszony stara się tylko przezwać współzawodnika jeszcze zabawniej. Nie ma co mówić, dobrze się spisuje Rzeczpospolita i wymowny składa dowód swej „żywotności."

Sprawa Geffckena — jak przewidywaliśmy — nie schodzi z zębów prasy, oburzając jednych mniemanemi zbrodniami winowajcy, drugich — nietaktem ks. Bismarka. Prasa gadzinowa szczypie przygryzkami sąd za pobłażliwość, dowodzi, że ogłoszenie pamiętników wyrządziło istotną szkodę Niemcom, zasiało rozterkę wewnątrz i obawy zewnątrz. Nawet czciciele Fryderyka III. skrzywili się, usłyszawszy, że tyle sławioną jego odezwę „do mojego narodu" pisał Geffcken. A przy tem wszystkiem dzieją się nadużycia możliwe tylko w Niemczech. Tak np. *Köln. Ztng*, gazeta prywatna, drukuje wyciągi z listów Rogenbacha i Geffckena, przekonywające o niewinności obu tych przyjaciół Fryderyka do kanclerza. Listy te zabrano przy rewizyach sądowych. Do pewnego stopnia możnaby wytłomaczyć, gdyby je ogłoszono jako materyał dowodowy w *Reichsanzeigerze*, ale co one robią w dzienniku prywatnym? Jest to jeden z objawów tego niemoralnego i dziwnego stosunku Bismarka do prasy niemieckiej, wynajmującej się i przez ten najem zyskującej prawa organów rządowych.

Cały ten skandal tak zajął uwagę publiczną, że projekt pomnożenia listy cywilnej cesarza o 3½ miliona marek, koszta wyprawy afrykańskiej obliczone na 2 miliony marek, wreszcie zatarg z Samoa, a raczej ze Stanami Zjednoczonemi i inne kwestye przesuwają się ledwie dostrzeżone.

Rząd węgierski, zdaje się, oberwie wszystkie łby hydrze opozycyi przeciwko nowej ustawie wojskowej, przedłużającej służbę jednoroczną do lat dwu. Tisza nie uległ ani deputacyom studenckim, ani atakom przeciwników parlamentarnych i postawi na swojem.

Biskupi krakowscy otrzymali tytuł książęcy. Ile Galicya za to bawidełko zapłaci ustępstwami finansowemi, jeszcze nie obliczono. Tanio ten splendor kosztować jej nie będzie. Czekajmy jednak rachunku, jaki poda rząd do pokrycia sejmowi.

Ks. Aleksander Battenberg był bardzo uroczyście przyjmowany w Wiedniu, skąd wyjechał do Wenecyi. Czy zamierza oczekiwać tam wyniku starć z Koburgiem i na wszelki wypadek znajdować się bliżej sceny, na której pragnąłby odegrać rolę?

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SPRAWA KOBIECA.

III. Umysłowość kobiety.

Wykazaliśmy, że wyzwolenie kobiety podąża nie pod wpływem świadomie założonego celu— zrzucenia zwierzchnictwa mężczyzny, lecz, przeciwnie, w następstwie zgoła odmiennych czynników. Samo wyswabadzanie idzie poniekąd nawet wbrew woli i upodobaniom wielowiekowej kucharki-służebnicy. Zdarza się, iż wychowane w długiej niewoli popędy poddańcze opierają się przymusowo następującej swobodzie. Ale samorozwój społeczny nie pyta o czyjeś nawyknienia. Zmusza on kobietę do zarobkowania po za ogniskiem domowem, z czasem stwarza w jej piersiach nieznane pragnienia osobiste i dawnym stanom podmiotowym przeciwstawia inne, urobione według nowych warunków. Zresztą okoliczność, że wśród prądu emancypacyjnego widzimy jednostki, świadomie walczące przeciw staroczesnemu poddaństwu, bynajmniej nie zmienia postaci rzeczy, gdyż są to tylko nieliczne szermierki, usuwające prawno-polityczne zawady z przed żywiołowo idącego wyzwolenia. Z tego punktu rozpatrywany prąd przypomina staczanie się górskiej lawiny — w obu razach mamy do czynienia z tą samą przyrodzoną żywiołowością. Wyzwolenie porywa przedewszystkiem kobiecte z pośród warstw społecznych, posiadających najmniej zapewnione jutro. W przeszłym artykule podaliśmy cyfry statystyczne, dowodzące, jakiej olbrzymiej skali doszło już uniezależnienie ekonomiczne dotychczasowej „towarzyszki mężczyzny" wśród klasy najmniejej. I z jakiemkolwiek uczuciem, chętnem lub nieprzychylnem, spoglądałaby kobieta na sprawę własnego wyzwolenia, nie ulega wątpliwości, że, jeżeli tylko nowoczesny rozwój ekonomiczny nie ustanie wskutek nieprzewidzianych jakichś przyczyn, prędzej czy później zająć ona musi takie samo jak mężczyzna położenie w zakresie zarobkowania i, co za tem idzie, wśród samego społeczeństwa z jego modłami prawno-politycznemi. Prawa polityczne, które przysądzono kobiecie w ostatniej reformie samorządu angielskiego, są wielomówiącą wskazówką. W każdym razie, możemy z wielkiem prawdopodobieństwem przypuścić, iż w następstwie rozwoju ekonomicznego prywatne gospodarstwa z wszystkiemi swemi zadaniami wsiąkną w ogólno-społeczny podział pracy, to zaś zniweczy materyalną podstawę i społeczną konieczność trzymania kobiety w jakiemś ciasnem a wydzielonem kole zajęć i obowiązków; samo tegoczesne ukształtowanie rodziny rozpłynie się w związku dwóch równych jednostek, niezależność zaś ekonomiczna obu stron pozwoli go oprzeć na podstawie czysto-uczuciowej bez obcenych domieszek gospodarczo-majątkowych. I społeczeństwo, zamiast przedstawiania organizacyi prawno-politycznej mężczyzn, posiadających każdy pod swoją władzą pewną liczbę kobiet dla spełniania potrzeb reprodukcyjnych i spożywczych pożycia gromadzkiego, przyjęłoby wtedy, przy pewnych warunkach, postać stowarzyszenia równoprawnych lubo różnopłciowych jednostek. Naturalnie, odbywające się przed naszemi oczami wyzwolenie zgoła nie zdaje sobie sprawy z tych tak doniosłych następstw; bezpośrednią a wystarczającą na dzisiaj pobudką dla niego jest zwiększenie zarobku rodziny, a więc niby utrzymanie właśnie tego porządku rzeczy, ku rozkładowi którego zmierza rozpatrywane zjawisko. Równouprawnienie obu płci w przyszłości jest płodem społecznym, wytwarzanym

---

warunkiem, że weźmiemy udział w wyprawie, o której bogaty łup dbał bardzo, gdyż jakiś handlarz obiecał mu za każdego zdrowego niewolnika cztery funty prochu lub pięć łokci tkaniny europejskiej. Nie było rady—przyłączyliśmy się. Ach, okropne to polowanie! Napadnięci bronili się mężnie, ale schwytano trzydziestu — ja sam dwu. W powrocie jednak zauważyłem, że wódz szepnął coś do swych przybocznych i nas wskazał. Zrozumiałem — a ponieważ noc zapadła, zniknęliśmy w gąszczach. Długo żyliśmy w lasach, jak zwierzęta, unikając ludzkiego wzroku. Nareszcie przybyliśmy do urorów. Jak mówiłem — jestem do nich podobny, więc myślałem, że spocznę między nimi. Wódz nawet przyjął nas bardzo łaskawie i dał robotę. Po paru dniach woła mnie do siebie i powiada: tak cię polubiłem, że na znak łaski pozwolę ci wypalić fajkę konopi. Wypaliłem — choć to paskudztwo. Ale on każe nałożyć drugą, potem trzecią, czwartą, mdłości mnie zbierają, dziękuję, a on nastaje... Straciłem przytomność. Kiedym ją odzyskał, byłem już własnością Tipu-Tipa, któremu wszystkich nas sprzedał.

Wanika.

Oj!

Dżak.

Może bym poddał się losowi, ale osadzono mi ręce i nogi w kłodzie drzewa razem z drugim niewolnikiem, który z rozpaczy zaczął jeść ziemię i umarł. Przez tydzień jego trup leżał przytwierdzony koło mnie w szopie, gdzie oczekiwaliśmy na inne transporty, z którymi mieliśmy razem wyruszyć. Ta męczarnia takiej dodała mi siły, że jednego dnia rozbiłem kłodę, uderzyłem Tipu-Tipa, który przechadzał się sam między nami, i uciekłem.

Wanika.

Wiatr cię uniósł?

Dżak.

Strach. Już temu lat cztery, służyłem potem u anglika, który mnie przezwał Dżakiem, trzeci rok jestem u ojca Makarego, miałem więc czas zapomnieć o tym rekinie, a przecież dotąd drżę na wspomnienie imienia Tipu-Tipa. Gdyby na mnie spojrzał, wleciałbym mu sam w gardło.

Wanika.

O, tak, i ja bym oszalała z trwogi, gdyby tu stanął.

Dżak.

To nic dziwnego: ledwie cię ukradł matce, Gala mu odebrał; kiedyż więc mogłaś przyzwyczaić się do niewoli? Ale ja w niej dojrzałem, niejeden już handlarz ludźmi trzymał mnie w pazurach, a mimo to przed Tipu-Tipem w wulkan bym się schował.

Wanika.

Chyba tu nie wpadnie?

Dżak.

Śmiały to tygrys, chociaż kolonie misyonarzów zwykle omija, a ojca Makarego szczególnie unika. Aby tylko Gala nam go na kark nie ściągnął!

Wanika.

Jakto? Gala, który go już ze swym oddziałem dwa razy rozbił i niewolników wyswobodził?

Dżak.

Właśnie dlatego. Jak go osaczy i drogi mu poprzecina, to zbój zgromadzi uzbrojoną bandę i z nas miazgę zrobi.

Wanika.

A niemcy?

Dżak.

Tyle im wierz, ile ogniowi: to grzeją, czego spalić nie mogą. I nas zniszczą i z nim się pojednają, jeśli to im dogodzi. Już ja ich obejrzałem nie z jednej strony, a zresztą słyszałem, co mówi ojciec Makary i pani Regina.

przez obecną dobę ekonomiczną z żywiołowością procesu naturalnego. Udostępnienie wszystkich dziedzin życia społecznego zarówno mężczyźnie, jak i kobiecie nasuwa jednak nowe pytanie, mianowicie, czy ta ostatnia zdoła wywiązać się należycie z wielu przyszłych swych zadań i stanowisk. Rozumie się, nie chodzi o jej uzdolnienia fizyczne. Rozwój techniczny społeczeństw cywilizowanych dąży w kierunku zastąpienia fachowej pracy fizycznej przez automatyczną, maszynową, i właśnie idące wyzwolenie w wielkiej mierze zawdzięcza swe istnienie temu, że zaprowadzenie maszyn umożliwiło kobiecie pracę w przemyśle, gdyż potrzeba tu nie silnych mięśni, lecz giętkości i zwinności członków. Wszystko pozwala mniemać, iż warunki te zostaną spotęgowane przez dalszy rozwój metod i sposobów wytwarzania. Idzie zatem głównie i nawet jedynie o zdolności umysłowe.

Nim jednak przystąpimy do rozpatrzenia tego punktu, zatrzymamy się nad wywołanemi przez sprawę wyzwolenia zaciekaniami i sporami w dziedzinie wiedzy antropologicznej. Oczywiście, postępujące wyswabadzanie musiało zwrócić na siebie uwagę ludzi nauki. Należy jednak dodać, iż nastąpiło to dopiero wtedy, kiedy o swobodę zarobkowania dobijać się poczęła kobieta tych warstw, z pośród których pochodzą i sami stróże nauki, zwłaszcza zaś kiedy wypowiedziała ona roszczenia do pracy umysłowej. Zapytano ją naówczas o „prawa naturalne.“ Wszczyna się spór mocno scholastyczny o posiadanie tych praw. Zagadnienie postawiono na gruncie płytkiej socyologii, iż z zjawiskami społecznemi można postępować jak z miękką gliną. Sądzono, iż jeżeli wyda się wyrok, na zasadzie odpowiednich faktów, że kobieta nie posiada ani stosownych uzdolnień, ani też „praw naturalnych,“ sprawa wyzwolenia ustanie... Mniejsza jednak o kazuistyczną scholastykę. W tym sporze naukowym zwraca na się większą uwagę inna już strona. Przyznam, iż niewiele znam wypadków, gdzieby na bieg „uczonego“ rozpatrywania rzeczy tak mocno wpływały pobudki natury filisterskiej. Mamy tu do czynienia z istotną humorystyką. Na odgłos żądań kobiety wzięto się do ważenia, mierzenia, porównywania jej organizmu z mężkim. Lecz badania były dalekiemi od przedmiotowości naukowej. Przeciwnie, szło tu już z góry o potępienie dających się słyszeć roszczeń. Czepiano się najdrobniejszej różnicy, byleby obronić „niewieściość,“ gospodarstwo domowe itd. kobiety. Niejaki Reich, autor licznych prac treści społecznych, lecz poszukujący w nauce tylko jednego — obrony ideałów drobnomieszczańskich, na wielu stronicach przytacza dowody, że sama natura wyznaczyła kobiecie być „towarzyszką mężczyzny,“ tj. niańką jego dzieci, gospodynią jego zasobów spożywczych i cackiem dla jego zabawy. Krew jej jest mniej bogatą w pewne pierwiastki, siła oddychania słabszą itd. Przez pewien czas zwłaszcza wyszukiwano naukowych świadectw jej większej „zwierzęcości.“ Już posługiwano się faktami usposobienia uczuciowego. „Wszyscy podróżnicy po Afryce zauważyli u murzyna zaciekłą namiętność ku pląsom. Jest on z istoty swojej próżniakiem, a przecież gotów całemi godzinami skakać i tańczyć, przy dźwiękach epileptycznej muzyki, póki nie upadnie w znużeniu, pół martwy ze zmęczenia... Czytelniku, czy byłeś kiedykolwiek na balu w Paryżu?“ Inni zauważyli, że, podobnie jak małpa, w złości lubi ona gryźć, kąsać, drapać... Już znowu opierano się na dowodach fizyczno-anatomicznych. Na zjeździe antropologicznym niemieckim we Wrocławiu w r. 1884 jeden z uczonych mężów wystąpił z odczytem o „większej zwierzęcości kobiety pod względem anatomicznym.“ Posiada ona otóż mniejszą wysokość, większą szczękoskosność, obfitsze uwłosienie. Wymiary czaszki są częściej podłużnymi, aniżeli u mężczyzny, pierwszy kręg kości ogonowej bywa rzadziej zrośnięty z ostatnim krzyżowej. Itd., itd. W swem stronniczem uniesieniu obrońca przywilejów mężczyzny zapomniał, iż jeśli wśród podłużnogłowców Europy kobieta bywa zwykle bardziej podłużnogłową, natomiast u mongołów jest więcej krótkogłową. Mniejsza jednak o to; humorystyczność odczytu polega nie na fałszowaniu faktów, lecz na dążności ku zamknięciu kobiety w ciasnym zakresie zadań, zdała od życia publicznego i umysłowego, i to na tej zasadzie, że jakieś dwa jej kręgi pacierzowe rzadziej bywają zrośniętymi aniżeli u jej „pana...“ Tego rodzaju „naukowo-antropologicznych“ przyczynków do wyświetlenia sprawy kobiecej moglibyśmy wskazać bardzo wiele. Właśnie, gdy piszemy te słowa, mamy przed sobą artykuł, zatytułowany „W pośrodku pomiędzy dzieckiem a mężczyzną.“ Autor stawia sobie do rozwiązania pytanie następujące: „czy wśród rasy białej, pomiędzy kobietą a mężczyzną można odnaleźć różnice antropologiczne, równoznaczne istniejącym pomiędzy rasami niższemi a wyższemi?“ Jako wynik rozumowań, otrzymujemy twierdzenie, że co do swej formy, względnych rozmiarów, krzywizny, wymiarów kątowych, czaszka kobiety zajmuje pośrednie miejsce pomiędzy dzieckiem a mężczyzną. Naturalnie, przeciw przedmiotowemu wykazywaniu podobnych faktów nic niepodobna zarzucić. Raczej jest ono bardzo pożądanem, jak każde należyte oświetlenie sprawy. Lecz tego rodzaju wywody rozpatrujemy właśnie ze względu na wypowiadane przy tem sądy i życzenia, oraz pobudki wystąpienia. Z tego stanowiska wyglądają one na szermierkę zagrożonego filisterstwa, jeżeli jeszcze nie wykazują czegoś gorszego—obawy rzemieślnika wobec nowej współzawodniczki zarobku...

Słowem, wzięto się do mierzenia, ważenia, porównywania organizmu kobiecego. W większości wypadków, jeżeli chodziło badaczom o jakieś praktyczno-społeczne wyniki z tego poszukiwania, tedy o udowodnienie, jako „naturalną powinnością“ kobiety jest kucharowanie, przedewszystkiem zaś trzymanie się zdala od zarobkowań umysłowych, gdyż grzechy codziennej dwunastogodzinnej pracy w zakładach fabrycznych jeszcze jej przebaczano... Jednakże cała ta wyprawa świata uczonego przeciw prądowi wyzwolenia przyniosła dobre owoce. Wyszukiwanie dowodów na niekorzyść kobiety z konieczności musiało pociągnąć za sobą wywleczenie na światło dzienne wszystkiego, co istniało w tej mierze. Dodajmy do tego badania umysłów tak światłych i wolnych od przesądów, jak Broca, a znajdziemy się w posiadaniu dość licznego zasobu faktów, sprawdzonych naukowo, które posłużą nam do scharakteryzowania umysłowości kobiecej. Otóż są one tego rodzaju, iż rzeczywiście oświadczają się przeciw kobiecie. Zresztą, jest to najzupełniej w porządku rzeczy. Jak niepodobna wymagać od spadlanych przez wieki paryów indyjskich jakiejś szlachetności postępowania i popędów godności osobistej, podobnie trudno spodziewać się, ażeby tysiącoletnia służebnica i nałożnica posiadała te same uzdolnienia umysłowe, co jej pan, któremu stały dostępem wszelkie życiowe działalności i ćwiczenia mózgu. Niektórzy wprawdzie mogą postawić zarzut, że ponieważ i właściwości umysłowe przechodzą w spadku, przeto kobieta mogła uczestniczyć w zdobyczach mózgowych mężczyzny za pośrednictwem dziedziczenia. Nie jest to nieprawdopodobnem, jakkolwiek z drugiej strony istnieją dowody, że wśród ludzkości, być może, równie mamy do czynienia z zasadą dziedziczenia poniekąd jednostronną — z mężczyzny na mężczyznę i z kobiety na kobietę. Cokolwiekbądź zresztą możnaby powiedzieć w tym względzie, nie ulega wąt-

---

Wanika.

Nie zasnę dziś, tak mnie przeraziłeś.

Dżak.

Ha, ha, ha, to ty myślałaś, że teraz w Afryce ktokolwiek spokojnie zasnąć może? Ja tam uważam się za szczęśliwego, jeśli na tem samem miejscu zobaczę wschód, na ktorem widziałem zachód słońca.

Wanika.

Może jednak biali zaprowadzą większe bezpieczeństwo.

Dżak.

Eh, według mnie murzyna rozeznasz w nocy, araba — w brzasku, a europejczyka nie rozeznasz nawet w jasny dzień. Czarnego przeniknę, tylko z boku na niego spojrzę, żółtego — tylko go przodem obrócę, a białego nie odgadnę, chociaż go wkoło obejdę.

Wanika.

A nasi państwo?

Dżak.

Zęby słonia są także kością, a jednakże więcej warte, niż jego goleń. Tak i z ludźmi. Gdyby ojciec Makary i pani Regina wzięli w rękę zeschły kaktus, to by zakwitnął.

Regina (*wchodzi*).

Rozpakowaliście wszystko?

Dżak.

Kończymy.

Regina.

Pośpieszcie się, moje dzieci, chcę przejrzeć, co mi przysłano, i napisać jeszcze dziś listy przez okręt, który wieczorem odpływa do Europy. Nie zauważyliście skrzynki... a pewnie ta (*bierze jedno z pudełek*). Tak... Zaraz wrócę, tylko paru chorym dam lekarstwo. Gdzie ojciec Makary?

Dżak.

W szkole.

Regina.

Wanika niech pamięta zadzwonić na obiad dla robotników w plantacyi (*wychodzi*).

Dżak.

Żaden bocian więcej ode mnie świata nie zwiedził, a jednak nigdzie nie spotkałem takiego raju dla murzynów roboczych, jak tu: przecie to są jeńcy Gali, bo ich Tipu-Tipowi odbił; a tymczasem pani Regina płaci im za pracę i pozwala odejść, kiedy zechcą. A jak ona leczy nietylko swoich, ale i obcych ludzi! Teraz ma z pięćdziesięciu chorych w szpitalu.

Wanika.

Może ona nie kobieta...

Dżak.

Ja co innego myślałem: może oni oboje z ojcem Makarym nie ludzie.

Wanika.

Czego on uczy w swojej szkole?

Dżak.

Trudno powiedzieć. Jest to niby religia, a niby jakaś inna mądrość, którą on nazywa wszechkapłaństwem. Czyta piękne książki i wykłada, że wszyscy ludzie są braćmi wspólnej matki — natury, która jednako ich kocha i łonem swem karmi, że jak niebo świeci ziemi gwiazdami, tak ziemia powinna niebu odświecać duszami, że każdy człowiek jest cząstką Boga, że żadna z tych cząstek ani krzywdzić, ani ujarzmiać innych nie ma prawa... Ale czy ja powtórzyć mogę! To tylko jeszcze dodam, że słuchając ojca Makarego, uczuwasz taką błogość, jak gdyby z jego słów uśmiechało się do ciebie szczęście.

Wanika.

Poproszę panią, ażeby mi pozwoliła czasem chodzić do tej szkoły.

Dżak.

Ona ci niedługo sama każe, jak się trochę otrzesz, boś jeszcze głupia. Murzyni

pliwości, iż w średniem rozwój mózgu kobiecego znajduje się na niższym stopniu, niż męzkiego. Rozpatrzmy się np. w następującej tablicy, streszczającej wynik badań Pawła Broca i Bischoffa nad porównawczą wagą mózgów męskiego i kobiecego:

Procent mózgów wśród		mężczyzn	kobiet
900—1,100	. . .	0,9%	8,8%
1,100 – 1,200	. . .	3,06%	30,1%
1,200—1,300	. . .	24%	33,7%
1,300—1,500	. . .	59,4%	41,3%
1,500—1,600	. . .	9,2%	1,2%
1,600—1,700	. . .	3,1%	—

Tablica ta wymownie świadczy o niższej wadze mózgu kobiecego i, co za tem idzie, o mniejszych uzdolnieniach umysłowych*). Wprawdzie, po części waga organu myślenia znajduje się w związku z ciężarem i rozmiarami ciała, np. wysokością wzrostu, lecz nawet i po odtrąceniu tego rodzaju wpływów, stosunek niekorzystny ulega jedynie zmniejszeniu, lecz nie zniweczeniu. Podobne cechy niższości widzimy i w samej budowie mózgu — w względnie mniejszem rozwinięciu przednich części. Ciekawemi są prawa rozwojowo-płciowe tego organu. Jak wykazuje Topinard, już niemowlę żeńskie posiadałoby mózg mniej ciężki od męskiego. W dalszym ciągu, od roku czwartego życia, rozwój u niego podążałby prędzej, aniżeli u chłopca, tak iż dziesięcioletnia dziewczynka dosięgłaby już przeszło 92% normalnej wagi dorosłego mózgu, wówczas gdy u czternastoletniego malca powyższy stosunek dochodzi tylko 90%. Podobne zjawisko widzimy i w procesie zanikowym mózgu ze starości. Największej swej wagi u kobiety mózg dochodzi w wieku lat 15—25 i potem zaczyna się szybko zniżać; tymczasem u mężczyzny odpowiedni okres przypada na wiek 25—35 lat. Badania innych przesuwają ów okres największości, lecz bynajmniej nie znoszą istniejącej różnicy w tej mierze u płci obu.

Powyższe dane wystarczają zupełnie dla skreślenia umysłowości kobiecej. Przedewszystkiem winna być ona niższą, bardziej pamięciową, aniżeli myślącą, raczej intuicyjną niż skłonną do powiązanego wnioskowania. Kobieta umysłowo dojrzewa prędzej, lecz za to okres największej siły umysłu trwa w niej krócej, oraz wcześniej nastaje. Zresztą należy zauważyć, iż w tych różnicach tkwi sporo owoców przebiegu historycznego. Dość np. porównać objętość jamy czaszkowej u różnych szczepów ludzkości, aby zauważyć, iż różnice u ludów dzikich są bez porównania mniejsze pomiędzy płciami w tym względzie, aniżeli na łonie naszych społeczeństw, zwłaszcza zaś życia miejskiego. Oznaczałoby to, iż cywilizacya nie koniecznie wyszła na korzyść względnej umysłowości kobiety w porównaniu z mężczyzną. Cokolwiek jednak możnaby było powiedzieć, fakty powyżej przytoczone wskazują na istotne upośledzenie. Cóż jednak stąd wynika? Czy na tej zasadzie mamy „odsądzić" kobietę od wiedzy, odmówić jej „praw" niezależności osobistej, walczenia przeciwko wyzwoleniu? Zauważę przedewszystkiem całą naiwność takiego stawiania kwestyi. Przyrównywaliśmy już sprawę wyzwolenia ze staczaniem się lawiny górskiej. Powstała ona pod wpływem warunków ekonomicznych, odbywa się nietylko nie pytając kobiety o jej uzdolnienia umysłowe, lecz nawet o to, czy ona chętnie patrzy na własne uniezależnienie. Podobnie, gdybyśmy nawet wymierzyli całe stosy tomów przeciw podążającej emancypacyi, na pewno nie ustałaby od tego. Czy kobieta ma mniejszy lub większy mózg, niż mężczyzna, okoliczność ta, jakkolwiek wieloznacząca, tyle zaważy na postępującem wyzwoleniu co inna, jak np. rzadsze zrośnięcie się dwu wyżej wymienionych kręgów. Fakt ten może wydać skutki dopiero w przyszłości, gdy kobiecie na równi z mężczyzną zostaną otwarte różne pola zarobkowania — w jakości tworów umysłowych, lecz nie wcześniej. Przytem nasuwa się inne pytanie. Niższość mózgowa kobiety powstała — jeżeli odjąć względy, wynikające z jej działalności rozplodczej — z braku odpowiedniego ćwiczenia. Być może, a nawet na pewno, odpowiednie postępowanie może powetować tę stratę (jak o tem przekonywa nas antropologia). I oto rozwój społeczny, stawiając dotychczasową poddankę na arenie samodzielnej walki życiowej o własnych siłach, znagla jej umysł do stosownej gimnastyki—w wyszukiwaniu środków zwycięztwa. Kształcenie również może tutaj sporo się przyczynić; naturalnie, jeżeli pod niem nie będziemy rozumieli obarczania pamięci anegdotkami historycznemi, z dziejów literatury itd., lecz ćwiczenie umysłu, którego wymają studya matematyczne i samodzielne poszukiwania w pracowniach. Można zrosztą sądzić, iż wskutek udostępnienia obu płciom możliwych zarobkowań, zdemokratyzowania pracy i wiedzy umysłowej w społeczeństwie itd., wreszcie oparcia związków małżeńskich na wzajemnem uczuciu, działalność żywiołowa doboru płciowego wzrośnie, a pewien poziom umysłowy zaliczony zostanie do niezbędnych powabów płciowych. Uwaga kobiety płciowa zostanie zwróconą w kierunku rozwoju własnej umysłowości, jak obecnie wyładowywa się jednostronnie w staraniu dokoła wdzięków cielesnych. Jednostki, których mózg nie doszedł do odpowiedniej temu doskonałości, lub uczynił to w stopniu nieznacznym, mogą przepłacić łożenie zbytnich wysiłków we względzie swej umysłowości, chorobami duchowemi i zwiększoną śmiertelnością. W ten sposób powstałby w społeczeństwie pewnego rodzaju dobór umysłowo-naturalny. Słowem, niższa budowa maszyny myślenia wśród płci żeńskiej nie jest znowu jakąś nieprzezwyciężoną przeszkodą. Natomiast musimy zwalczyć inny pogląd—o możliwej a zupełnej równości. Działalność rozpłodcza obu płci zbyt się różni, aby nie miała wywrzeć jakiegoś dalszego wpływu na charakter umysłowości. W artykule *Typy umysłowe* widzieliśmy, iż tego lub innego rodzaju cechy pracy umysłowej zawisły od czynników mocno organicznych. Wobec tego możemy się spodziewać, iż dopuszczenie obu płci do wszelkich zajęć pociągnie za sobą jedno—nadanie tworom umysłowym i publicznym społeczeństwa różnorodniejszego charakteru. U jednej płci może okazać się więcej pierwiastków analitycznych, u drugiej — syntezy.

Lud. Krz.

*) Naturalnie wagi i objętości mózgu nie przyjmujemy za doskonałe mierniki umysłowości, gdyż należy uwzględnić jeszcze wiele innych czynników. Lecz w każdym razie są one bardzo ważnymi. Materyał faktyczny bierzemy z Topinarda *Elements d'anthropologie générale.*

Z ZACHODU.

Monachium, 16 stycznia.

Wielka maskarada Europy. — Boulanger — mężem stanu, *Figaro* — opinią, Carnot — mumią. — Kongres pokoju — wezwaniem do boju. — Carduci i Saffi w pikielhaubach. — Hartmann przebrany za cnotę, Teut za apostoła. — W *foyer.* — Gazeta poznańska. — Agonia banku.

Choćbyś miał wdzięczne Misia ruchy, lekkość i powiewność słonia, a gibkość nosorożca, gdy ci na obczyźnie śród nocy bezsennej zagra nad pułapem tempo walca lub polki, wnet zaczynasz łaknąć balowego wiru i żałować, że tak daleko, tak daleko od rodzinnego... karnawału. Tęsknica, która

---

bardzo lubią naukę ojca Makarego, ale arabowie i europejczycy — nie. (*We drzwiach ukazuje się gromadka murzynów*).

Murzyn 1.

Gdzie tu szkoła?

Dżak.

W drugim domu na prawo.

Murzyn 1.

Wpuszczą?

Dżak.

Idźcie śmiało.

Murzyn 2.

A na febrę poradzą?

Dżak.

W szpitalu — obok. (*Murzyni oddalają się*). Tak codzień schodzą się z najodleglejszych okolic. Jeśli barak nie może ich pomieścić, to sypiają na polu, jak owce. Biedacy spodziewają się, że ojciec Makary nauczy ich czarów przeciw Tipu-Tipowi. Musi ten sęp krążyć niedaleko, bo stadami zlatują. Czy on drużyny Gali nie skosił — dawno już o niej nie słychać.

Wanika.

Niech dobre duchy strzegą mojego wybawiciela! (*Wchodzi Gala*).

SCENA II.

Ciż i Gala.

Wanika (*rzucając mu się do kolan*).

Galo wspaniałomyślny, dobry, mężny... Galo kochany... jesteś! Pozwól mi ucałować twoje stopy, ustami zdjąć z nich kurz, być twoją niewolnicą!

Dżak (*do siebie*).

Patrzcie, jak dla niego odkorkowała serce!

Gala.

Wstań Waniko. Co tu nowego?

Dżak.

Pani była bardzo o was niespokojna.

Gala.

Pani? Czy zdrowa, zadowolona?

Dżak.

Jak zawsze — smutna.

Gala.

A ojciec Makary?

Dżak.

Słabuje czasem, omdlewa, chodzić wiele nie może.

Gala.

Więc pani o mnie się kłopotała? Cóż mówiła?

Wanika.

Długo nie dawałeś o sobie znać, lękała się, czy was Tipu-Tip nie rozbił, czy ciebie nie dostał w moc swoją.

Gala.

Tymczasem ja mu znowu wydarłem niewolników. Waniko, każ im dać jeść, bo mają brzuchy puste, jak trzciny.

Wanika.

Biegnę (*wychodzi*).

Gala.

Ty Dżaku idź na stacyę handlową. Moi żołnierze zanieśli różne towary, które nabyliśmy lub zabrali Tipu-Tipowi. Dopilnuj, ażeby je starannie zważono. Zaraz przybędę i rozliczę się z uczestnikami wyprawy. Powiedziano mi, że statek z naszym ładunkiem jeszcze nie odjechał do Europy—niech się parę godzin zatrzyma.

Dżak.

Zrozumiałem (*oddala się — wchodzi Regina*).

(D. c. n.).

zwykle całą ogarnia istotę, po nowym roku skupia się w nogach, całkiem zgodnie ze zmianą, jaka zachodzi naówczas w rozmieszczeniu władz umysłowych u swoich. Magnes ciągnie wtedy z dołu, więc odpowiedni kierunek przyjmuje igiełka, a z nas wszelki wstyd za to obniżenie — spada.

Na szczęście popęd ten nie może się rozwinąć w niepokonany i aż bolesny, bo oko i ucho i wszystkie zmysły zajął karnawał na skalę olbrzymią i większą jeszcze maskarada, w której biorą udział ludy, a której za salę służy nie mniej ni .więcej, tylko Europa cała. Zwłaszcza część jej zachodnia, to dziś bajecznych rozmiarów Koloseum, grzmiące od intryg i zabaw, wobec których rojne wnętrze sal Redutowych sprawia wrażenie pospolitego ruszenia.

Evhoe Caesar! Evhoe Bachhe! Co to za kostiumy i co za *pulcinelli*, mieniące się od barw tęczowych i, czarodziejskich świateł! To już nie kopy i mendle tradycyjnych żydków z pejsami i pobrzękujących pasem niby krakowiaków. To długi, nieskończony korowód gwiazd politycznego nieba, które spadły na tę widownię, ażeby poskakać jak błędne ogniki, pomigotać jak latarka przy szopce, zabawić nas, rozśmieszyć, czasem wdziać błazeński strój z wielkim brzuchem i dzwonkami.

Towarzystwo świetne: rzuć szpilką, a trafisz w poetę, filozofa, męża stanu, przebranego za arlekina; ale cóż, między ich ciżbę wmieszało się znowu kilku clownów, którzy pokryli piersi orderami, włożyli pyszne mundury i udają wielkich. Ten oto np. dosiadłszy dzielnego wierzchowca, sunie eleganckim kłusem pod oknami buduarów i zdobywa serca paryżanek i całej Francyi. Stań mu w poprzek drogi i za jakimś satyrem niemieckim krzyknij *Dieb, Dieb!* — wrzawa z kroci głosów powtóry: *Dip-lomat!* a echo uliczne odkrzyknie: Boulanger!, a Melpomena malowniczo udrapuje to na scenie teatru, odegra na cześć jego sztukę (*Revue*) i wskazując palcem na trefnisia, pocznie śpiewać:

C'est Boulange, lange, lange
C'est Bolanger qu'il nous faut!

a chór przyjaciół z usłużnym bohaterem Beaumarchais'go na czele z *Figarem*, przebranym za opinię, udającym patryotę i zbawcę narodu, rozsypie się w nieprzytomnych oklaskach i podrygiwać będzie radośnie...

Jak tu się nie wziąć za boki i nie zalać śmiechem? Bah! — ale nagle potrącasz łokciem jakiegoś dostojnika rzymskiego; idzie, jak mumia nieruchomy, a ciebie chętka bierze targnąć go za brodę, jak ongi Brennus na *forum Romanum* — senatora, ażeby przekonać się, czy żyje, czy też jest automatem, któremu nakręcono z tyłu maszynkę. To *Monsieur* Carnot, którego za nieostrożność zbyteczna przeprosić, nie uczuł jej, zatopiony głęboko w myślach o najbliższej uczcie w palacu Elizejskim.

Gdyby kukułki miały odwagę składać jaja w gniazdach orlich, możnaby sądzić, że sztywny ten kompars jest sobie zwyczajnym podrzutkiem ptasim.

Od strony południa słychać głuchy pomruk tłumu i od czasu do czasu strzelające ponad niego okrzyki pojedyncze, to dzikie i namiętne, to nabrzmiałe patosem i wzruszeniem, to gniewno, to znowu miękkie. Ciśniesz się przez zbity tłok i dociersz do źródła wrzawy. Lombardya i Francya w murach Medyolanu podały sobie dłonie, a porwane szałem braterskich uczuć dwa narody, napełniają powietrze... deklamacyą. Dwieście towarzystw demokratycznych i republikańskich zebrało się pod hasłem pokoju, ażeby zaprotestować przeciw wojowniczym zapędom włoskiego rządu, który niepewny naturalnego krwi i rasy pokrewieństwa, czycha na zgubę sąsiada, dawnego sprzymierzeńca i druha. Padli tedy wszyscy na kolana przed bóstwem, które w swych dłoniach trzyma gałązkę oliwną miłości i zgody. Ale zaczne bóstwo łaknęło także maskarady, więc przebrane za Janusa, ukazało światu spiżowe oblicze wojny— wojny o Alzacyę i Lotaryngię, walki na śmierć i życie o utracone prowincye francuskie. Szpetna barwa byłaby tylko zabawną, gdyby nie padał od niej plamiący cień na wszelkie ligi pokoju...

Za przykładem bóstwa poszły i pół-bogi; Carducci, szlachetny, wzniosły, humanitarny Carducci, pożyczył uniformu od pruskiego żołdaka. Tylko mu zdjąć laur i włożyć na głowę — pikielhaubę. Nie chce on znać Marsylianki, nie chce iść do napchanego od góry do dołu *Teatro verme*, gdzie się zjazd odbywa, gniewne rzuca spojrzenie na tych, co zapamiętale wołają: *Evviva la Francia!* i gromi ich stentorem wodza: „Na ramię broń! Ci nasi goście z nad Sekwany i Loary to wilki w baranich skórach, pseudo-republikanie, na których baczne trzeba mieć oko, ażeby nas nie podeszli. Niechaj Italia w imię swego bezpieczeństwa nie wypuszcza oręża z rąk, albowiem dzień dzisiejszy postawi naprost nas dwóch wrogów zaciętych: Francyę i Austryę..." I nuż policzkować sąsiadów za wyprawę tunetańską i upewniać ich, że raz na zawsze stracili serca włochów...

A saphiczny Saffi krok w krok stąpa za wieszczem *Szatana* i potakuje głową. I on cały w wojennym rynsztunku, ten starzec osiwiały, z jedną nogą w grobie, ten tryumwir rzymski z z 1849 r. i, jak go ktoś słusznie nazwał, Katon rzeczypospolitej Mazziniego. Biała głowa pod hełmem trzęsie się z wytężenia, a gardło wzywa do boju, „gdyż wielkie mocarstwa Europy, na sile zbrojnej oparte, nie mogą się wzruszać czyjemś oburzeniem." To prawda — ale zostaw, zgrzybiałcze, konieczność — konieczności; jeśli się gryźć muszą, niech się zagryzają bohaterowie Sedanu, ale ty do pałaszów szczęku i odgłosu nabijanych magazynówek nie łącz swojego: „A huzia!"

Gdy więc, jak mówi któryś z błaznów Szekspira, „pobłaźnieli sami... mędrcowie," czyż podobna dziwić się, że na wielkim balu kostiumowym Europy dla równowagi kuglarze pozują na apostołów, a gadziny na gołębie bez żółci? Filozof przyszłości, tj. tych czasów, kiedy wszyscy zgłupiejemy do reszty, Edward Hartmann, urzędowy tępiciel polaków, włożył na się białe suknie westalki i niby wcielenie cnoty miota się wściekle na niemiecką prasę. Jesteś przedajna i stronnicza — prawi, marszcząc brwi — jesteś służką klik! Bah, ale dlaczego, zapytasz pewnie, ciekawy widzu tej niespodzianej roli? Pewnie dlatego, że liże stopy silnych tego świata i Marsowi zastępuje romantycznego giermka? O bynajmniej: że nie trąbi naokół wielkiej sławy twórcy beztwiednego... systemu; że o każdym jego artykule lub broszurze nie pisze całych rozpraw. „Wola nieświadoma" stała się samowiedną, ażeby siebie samą potem roztopić w Nirwanie — podobnie jak legendowy Münchausen za własny swój warkocz z bagna się wyciągnął; nawet niemcy przestali bić pokłony temu natchnionemu pomysłowi — i oto zwalony a niedawno jeszcze czczony bałwan (nie mówię tego dwuznacznie...) zżyma się na odszczepieńców swych w *Gegenwart*.

Ktoś — myślisz — wziął do serca jego zarzut niesumienności? No — zgaduję jakiś doktrynerski, idealistycznym „szwungiem," niby wiatrem podszyty dziennik? O nie — *Gazeta kolońska*, pismo trzeźwe, ziemi się trzymające i wolne od pogardy dla jej — skarbów. Żmija, sycząc, wysunęła żądło i jadem dokoła pluje. Ażeby jednak i przy tej sposobności zrobić geszefcik, powiada: Ja cała wielkiemi sprawami pochłonięta, rzadko mam czas i miejsce na sprawozdania literackie. Ale za to koleżanki moje, dając fejletony: *Kunst und Wissenschaft* — te są na żołdzie partyj, a żyją i tuczą się reklamą dla różnych pismaków. Ofiarą tedy padła *Gazeta frankfurcka*, bo jest wolnomyślną i... uczciwą.

Nadobna wieszczko z pod wieżyc tumu, w których, jak mówi Heine, gnieżdżą się kruki i sowy — znamy cię doskonale. Nie nas brać na skromne minki.

Już i innych figurantów pokazywać nie będę. Chciałoby się wprawdzie podążyć trochę na wschód i północ, ku zimnym głazom i gniazdom pruskiego orła i zobaczyć zblizka, jak Teut o szerokich plecach, dzikiem wejrzeniu i bawolim karku, wziął krzyż w ręce i wędruje na brzegi Afryki zdejmować niewolnikom pęta, ażeby módz później chwalić się przed ludźmi, że... plantacye tytoniu, kakao i kawy bogaty wydają mu plon, że funt delikatnego jak jedwab liścia sprzedaje w Hamburgu po 3 marki; chciałoby się widzieć, jak go uważnie słuchają najezdcy, w białych kapach siostr miłosierdzia i z różańcem u boku i biegną między czarnych krzewić swobodę — rabunku; ale ten chaos fantastycznych ubiorów, postaci, sztandarów, nuży i umysł zamąca i w jakiś pół-sen gorączkowy wprawia, w którym usta szepcą nieśmiało pytanie: skąd tyle masek na świecie, czy one kiedy opadną, a człowiek będzie mógł oglądać nagie oblicze człowieka? Więc wynośmy się żwawo z tego zgiełku i odetchnijmy w *foyer*. Tu już ciszej, choć mniej malowniczo i ładnie. Bufety zastawione słodyczami, a wino leje się strugą, szampan i reńskie kupione za grosz otrzymany przed chwilą od komisyi kolonizacyjnej. Może pozwolisz cukierka? Nie będzie to wprawdzie pomadka dla podniebienia, ale dla ucha, które przecież nie może nie rozkoszować się nowiną, że ostatnie dobra w okolicach Torunia, będące dotąd w rękach swojskich, sprzedano niemcom za 80,000 marek. Właścicielem był Piekarski. Aj, do licha! Gdyby tak przysłowia miały moc zaklęć!.. Za ten przysmak ambrozyjski podziękuj *Gazecie poznańskiej*. Zawitała do mnie raz pierwszy, więc pełen uprzejmości dla nowonarodzonej:

— Gościu mój, rzekę, pozwól, niech się dowiem... kto jesteś?

Odpowiada mi numerem okazowem, który obiecuje wiele, dlatego że obiecuje mało. Rozumnie skreślony program, nie wiem czy pozyskał jej życzliwość nad Wartą, ale my musimy przedewszystkiem powinszować dobrego początku i przyjąć jako odległego wprawdzie lecz duchowego krewniaka. Słowa wstępne brzmią mile i świeżo.

„Wznosimy się ponad wszelką kastowość, którą uważamy za bałamutną i zgubną, ajeżeli głównie dla mieszczan i wieśniaków pracować chcemy, to czynimy to dlatego (za *te* trzy *ten tego* nie biorę na się odpowiedzialności — *przypis. aut.*), że na tem polu wiele do pracy pozostaje...

„Bieda a nawet nędza materyalna, nieznajomość źródeł, z których płynie dobrobyt narodowy, rażący brak ogólniejszej nauki i szerszych poglądów społeczno-politycznych między znaczniejszą częścią mieszczaństwa i ludu wiejskiego — oto pobudki, jakie zniewoliły nas do wystąpienia na widownię pracy dziennikarskiej..."

No przecież!

Jako „bezwyznaniowca" a zatem człowieka bez czci i wiary, zatrwożyła mię nieco okoliczność, że nowy bojownik sprawy, bodajby nie zatracony jeszcze, za często szepcze modlitwy, i w prospekcie, i w fejletonie i w szerokich komentarzach do naczelnych godeł pisma, ale szczęściem dotąd, pobożna ekstaza nie mąci mu jasności poglądów i wykładu. Niech więc sobie wdziewa choćby habit a plecy biczuje do krwi, byleby nie plótł jak różne świstki wielkopolskie, lub jak... pan Piekarski na mękach.

Gazeta rozmiarami nie imponuje, ale też artykuły swe nie zamienia w chudą wasserzupkę. Nie chęć literackich popisów stworzyła ją widocznie, bo nazwiskami nie zamydla oczu a sprawy miejscowe i echa z szerszych widnokręgów podaje zwięźle, prosto, przystępnie; język możliwie mało

szpikuje barbaryzmami, a styl — czczymi frazesami.

Po mdłym, usypiającym myśl i gaszącym zapał tonie innych „poznaniówek“ — nastrój tej, o ktorej mówię, orzeźwia. Przednie miejsce w jej porządku dziennym zajęło podniesienie stanu gospodarczego Księstwa, rozwój samowiedzy u ludu i wychowanie domowe. Kwestyonaryusz: „Jak kształcić w dziecku poczucie narodowe“ wywołał żywszą wymianę zdań i przynieść może niejedno zdrowe ziarno rozsądnej pedagogice; a logiczną jest, przekonywa szczerością i dobrą wolą tchnąca polemika z przeciwnikami wiecu, który raz już obradował nad sprawami języka i świetne złożył świadectwo rozsądku włościan a teraz wzywa do prac dalszych. Bo trzeba ci wiedzieć, czytelniku, że tam, w Poznańskiem, umieją nietylko ziemię sprzedawać, ale i burzyć wszelkie gmachy ogólnego dobra. Bank ziemski przebywa już agonię a sekretaryat komitetu galicyjskiego, który jednał niejednych zwolenników i akcyonaryuszów, westchnął jeno głęboko, wzniósł oczy do nieba, ręce na piersiach skrzyżował, a potem, potem je umył od wszystkiego. Co prawda, pobudki któremi się usprawiedliwia, tak bardzo głupiemi nie są: „Kiedy szlachta poznańska oświadczyła się w Berlinie za ocleniem zboża zagranicznego, a więc i galicyjskiego, to nie warto ziemi poznańskiej ratować galicyjskiemi pieniędzmi.“ Drugi motyw—najważniejszy, zawiera wyznanie, że patryotyzm stańczyków kordonu nie przekracza. Tak trzeba było powiedzieć odrazu a wtedy i mniej cynicznie brzmiałby sofizmat: „kiedy szlachta poznańska sama o utrzymanie ziemi nie dba, to dlaczegoż my dalsi więcej o nią dbać mamy!“

Na zakończenie wypadałoby może rozpogodzić cię na chwilkę kilkoma punktami prawdziwie dzielnej odezwy wiecu. Ale — tyś pewnie już we fraku i białym krawacie, a skoro miłe wzruszenie sprawiło u Hajoty, że „ranna jej suknia była za ciasną na rozpierające jej piersi uczucia“ więc i tobie możeby strój balowy... pękł.

Cezary Jellenta.

SPRAWY EKONOMICZNE.

SKARBY POLESKIE.

Owo Polesie, o którem mieszkańcy z dalszych okolic nie mają najmniejszego pojęcia albo położenie jego w wyobraźni swojej przedstawiają w takiej formie, jak dewotki czyściec lub piekło — zaczyna interesować przynajmniej niektóre z naszych pism. Od roku zeszłego *Gazeta rolnicza* bardzo poważnie zajmuje się bytem ekonomicznym tej dzielnicy. Przed kilku laty *Gazeta polska* i *Wiek* drukowały obszerne i ciekawe korespondencye z tamtych stron. Tymczasem mieszkańcy w zapadłym, obfitującym w bogactwa ziemskie kącie zaczynają nieco się ruszać i przecierać oczy zaspane. Gdy jeszcze posiadacze ziemscy mogli ciągnąć wielkie i niemal jedyne zyski z olbrzymich puszcz, pokrywających niziny Dniepru i Prypeci, nie myślano wcale o innych źródłach dochodu. Obecnie przy ograniczeniach leśnych i ogólnem pogorszeniu się bytu ekonomicznego, zabrano się do tego, co było dotąd pogardzane. Przedewszystkiem postanowiono korzystać z rud żelaznych i drzewa opałowego. Z tego powodu w maju r. z. odbył się zjazd obywateli w Żytomierzu; na nim postanowiono przedewszystkiem określić stosunek do Towarzystwa udziałowego, które proponowało swą pomoc rolnikom tamtejszym. Na zjeździe tym (według sprawozdania *Gaz. rolniczej*) uchwalono: wybrać komisyę redakcyjną, polecić jej ułożenie stosunku ekonomiczno-prawnego między Towarzystwem akcyjnem i rolnikami Polesia wołyńskiego, aby ich ochronić od odpowiedzialności majątkowej na wypadek przypuszczalnego niepowodzenia. Pierwotny projekt podał p. Feliks Wesołowski w tej formie: kapitaliści mieli złożyć gotówką $^3/_5$ całego kapitału Towarzystwa na fundusz zakładowy i obrotowy przedsiębiorstwa, rolnicy zaś dawali $^2/_5$ całego kapitału nie gotówką, lecz wartością drzewa opałowego w lesie i wartością przedmiotów kopalnych w ziemi. Komisya redakcyjna zmieniła ten pomysł: rolnicy występują jako dostawcy drzewa opałowego i przedmiotów kopalnych na 60 lat eksploatacyi rud żelaznych i lasów, po cenie stałej, z góry określonej. Przez pierwsze lat pięć czynności fabryk żelaznych rolnicy dostawcy otrzymają swoją należność od Towarzystwa nie gotówką, lecz akcyami. Przez resztę lat (55) za drzewo opałowe i przedmioty kopalne otrzymają gotówkę. Tym sposobem ryzyko rolników zmniejszono do $^1/_{12}$ pierwotnego projektu.

Drugi zjazd odbył się także w Żytomierzu 27 listopada r. z. Odczytano tam poważny, na pewnych podstawach opracowany referat p. Wesołowskiego, który może dodać wiele otuchy pesymistom, niepewnym gruntu pod nogami. Drzewo opałowe na Polesiu — mówi p. W. — jako towar dziś nikomu i na nic nieprzydatny, będzie miało z czasem przy fabrykach żelaznych zapewniony i ustalony odbyt. Ludność miejscowa, obecnie uboga, mieć będzie stało zarobki, a kraj polski dziś pusty i głuchy, z czasem się ożywi i dojdzie do stanu normalnego. Ziemia tamtejsza może się podnieść w cenie (dziś mórg jej sprzedaje się na licytacyach nieraz po *dwanaście kopiejek*, tj. włóka po *trzy ruble*). „Na nieszczęście— powiada dalej p. W. — wielu z naszych ziemian poleskich tak już upadło na duchu, że oceniają pesymistycznie warunki poprawy swego bytu ekonomicznego i każdy z osobna obojętnie i apatycznie oczekuje dnia swojej ruiny majątkowej, po za którą idzie cały szereg innych ruin, niedających się naprawić... Tylko my, mieszkańcy Polesia, mamy wstręt do wszelkiej pracy zbiorowej. Jeżeli mamy u siebie koleje żelazne, drogi szosowe, olbrzymie groble na błotach i mosty na rzekach, to te, jako dzieła państwowe, nie stanowią ani naszej idei, ani naszej zasługi.“ Trochę się omylił p. W., biorąc jako wyjątek pod tymi względami Polesie; dałoby się to samo powiedzieć i o innych prowincyach. Obywateli ziemskich na Polesiu powinny zachęcić do czynu następujące warunki: Zarząd Towarzystwa udziałowego przyjmuje na siebie obowiązek zaprowadzić w lasach prywatnych prawidłowe gospodarstwo. Dalej — od zupełnej ruiny przedsiębiorstwa udziałowego ochrania każdego uczestnika prawo w statucie Towarzystwa: „Na wypadek strat, wynoszących $^2/_5$ całego kapitału przedsiębiorstwa, Towarzystwo będzie rozwiązane, jeżeli akcyonaryusze z dobrej woli nie dopełnią gotówką strat już poniesionych. Przypuśćmy bankructwo po pierwszych pięciu latach: okaże się, że rolnicy za las opałowy, opłacony akcyami, wezmą nie po dwadzieścia, lecz tylko po dwanaście rubli za dziesięcinę bez ziemi, licząc rubel akcyjny po 60 kop. Niechże się więc pocieszą tem, że za połowę owej ceny—jak utrzymuje p. Wesołowski — można kupić całe Polesie wołyńskie (przykłady: Łopatycze i Listwię kupiono po trzy ruble za dziesięcinę z wolnej ręki, więc Wieledniki-Małe sprzedano na publicznej licytacyi po 1 rs. 20 kop. za dziesięcinę, wieś Kleszcze po 45 kop. a Larny po 35½ kop. za dziesięcinę (lasów z ziemią!).

Niejeden z upadających posiadaczów ziemskich niewątpliwie mógłby się wyratować, gdyby chciał głębiej zajrzeć do swego gruntu, niż mu skiba, przez pług pierwotny odwrócona, pokazuje. Wszak pewna bogata obywatelka tamtejsza ma w swych posiadłościach wyśmienitą glinę porcelanową, za którą dyrekcya fabryki w Sèvres daje po *sześćdziesiąt* kopiejek za pud na miejscu. Ozy jednak taki fakt robi wrażenie dodatnie na „inteligencyi“ okolicznej? Czynny i wytrwały p. Wesołowski, objeżdżając Polesie wołyńskie, prawie w każdym majątku dowiadywał się o miejscach i uroczyskach, obfitujących w rudy żelazne i inne przedmioty kopalne. „Od właścicieli ziemi, od ich rządców i pełnomocników — powiada— nic zgoła dowiedzieć się nie mogłem; ci wyręczali się zwykle włościanami, nieumiejącymi ani czytać, ani pisać, niemającymi pojęcia o istnieniu geologii i studyach geologicznych, ale miłującymi rodzinną swą ziemię jako matkę karmicielkę. To też dobra matka najdłużej zatrzymuje przy łonie swojem kochające ją dzieci — włościan — a odpycha i rozprasza po świecie *panów* i ich satelitów.“ W powiecie owruckim ciągną się olbrzymie pokłady rudy żelaznej, której ogromne bryły mieszkańcy używają na fundamenty pod wszelkie budowle i na piece. A przecież te rudy, według zdania specyalistów, są czyste i wysoko procentowe. Obecne krzątanie się na Polesiu w kierunku eksploatowania bogactw ziemskich, powinno choć w części rozbudzić masy bezwładnych ślimaków szlacheckich. Są już ślady w robotach wstępnych. Na ostatnim zjeździe p. Uwarow, marszałek wołyński, właściciel rozległych dóbr, pierwszy podpisał na liście 20 do 25,000 dziesięcin lasu na rzecz Towarzystwa udziałowego. Następnie inni obywatele podpisali jeszcze 74,000 dzies., ogółem około 175,000 morgów polskich lasu opałowego.

Drogomir.

BADANIA NAUKOWE.

NAJNOWSZY POGLĄD
na ustrój społeczeństwa polskiego w XIII w.

II.

Powaga władzy książęcej występuje na kartach pomnika w pierwotnym, starosłowiańskim blasku. „Pan ziemi“ (*landsherr, herr des landes, herr*) jest wcieleniem idei zasad prawnych i piastunem harmonii społecznej. „Droga publiczna zostaje pod zasłoną pokoju książęcego:“ kto na niej dokonywa gwałtu, ściąga na siebie karzącą „dłoń pana.“ Sądzi on obwinionych o przestępstwo — gdzie chce i kiedy chce. „Jeżeli sam kogo oskarża, a sprawę ma rozstrzygnąć pojedynek, stawia za siebie jednego ze swych ludzi.“ W kodeksie prawa zwyczajowego wspomniano kilkakrotnie o służbie książęcej (bez określenia wszakże jej rodzaju); była ona jedną z niewielu przyczyn usprawiedliwiających niestawienie się przed sądem. Majątek władcy zabezpieczały wyjątkowe przywileje. Kradzież z dworca książęcego pociągała za sobą karę — od 50 do 70 grzywien; podczas gdy taki sam występek, popełniony w domu rycerza lub włościanina, można było okupić 12 grzywnami. Wolny, czy zależny — każdy mieszkaniec ziemi zostawał w mocy księcia — w pewnych razach miał on prawo wszystkimi, jako *swoją* rozporządzać rzeszą.

Młodemu badaczowi nasuwa się tu ważne pytanie: jakie światło rzuca pomnik na kwestyę istnienia stanów? Zbiera więc odpowiednie szczegóły i dochodzi do wniosku, że „społeczeństwo polskie XIII-go stulecia obce było ustrojowi stanowemu we właściwem tego słowa znaczeniu:“ nie dzieliło się ono bowiem na odrębne, uprawomocnione przez władzę państwową a oparte na dziedzicznych przywilejach, warstwy. Ku usprawiedliwieniu danej tezy, przeczącej w części wywodom Bobrzyńskiego, bar-

dzo nieliczne a słabe przytacza p. Winawer dowody. Artykuł 23 (według edycyi krakowskiej) inaczej przez Helcla, inaczej przez naszego autora tłomaczony*), opiewa, iż „właściciel ziemi,“ może, w razie pojedynku z kmieciem, dać zastępcę, w osobie kmiecia lub innego jakiego człowieka. Ponieważ nigdzie nie ma wzmianki, by podobny przywilej służył i kmieciowi, wypada przypuszczać, że natrafiamy na ślad określenia różnicy między dwoma stanami. Nasz badacz tymczasem zwraca jedynie uwagę na wyrażenie „*Hot ein man eigen...*“ („Jeśli kto ma własność...“) i decyduje, że gdy zaznaczono nie stan społeczny, lecz ekonomiczną sytuacyę, to różnicę wskazaną wywołały „nie zasady prawne, lecz siły faktyczne.“ Gdzieindziej znów powiedziano, że jeśli „rycerz lub *równy rycerzowi człowiek*“ („eyn ritter adir eyn rittermeszig man“) zostanie zabity na drodze wiejskiej, to krewni nieboszczyka otrzymują (od „opalo“ czy włości) wynagrodzenie w kwocie 50 grzywien. Autor nie chciał tu zauważyć, że na kmieciu w podobnych warunkach spełnione zabójstwo kosztowało tylko 30 grzywien; ale podkreślił i dyalektycznemu poddał rozbiorowi wyrażenie „eyn rittermessig man.“ „Jest to coś, jak powiada, pośredniego między rycerzem a nie rycerzem: nie-rycerz, a korzysta z praw rycerskich. Gdzie istnieje silny ustrój stanowy, tam podobne zjawisko miejsca mieć nie może. Jednostka, która przez władzę zwierzchniczą uznana została za członka pewnego stanu, przestaje być czemś pośredniem a nieokreślonem; w przeciwnym razie (t. j. nie będąc uznaną) nie może korzystać z praw, do danego stanu przywiązanych.“ Sądziłbym, że pojęcie, zawarte w przytoczonych wyrazach, nie jest niczem „pośredniem a nieokreślonem;“ jeżeli bowiem przypuścimy (co chyba nie przekracza granic prawdopodobieństwa), że pod mianem „ritter“ należy rozumieć wojaka, pewnymi przywilejami obdarzonego, to „ein rittermeszig man“ może oznaczać osobę cywilną, temi samemi uwianowaną prawami — tak, iż oba pojęcia dadzą się sprowadzić do wspólnego mianownika i pod jedną, wyższą kategoryę podciągnąć. Trzeci i ostatni dowód braku organizacyi stanowej w Polsce, między r. 1240 a 1270, opiera p. W. na nieokreśloności wyrazu „gebuer“ (gbur), który oznacza — to niewolnika (art. 6), to wolną (art. 26), to — w większej liczbie zdań — napół-wolną jednostkę... „Gebuer“ wszakże ani z „rycerzem,“ ani z „człowiekiem, rycerzowi równym,“ ani z duchownym nie ma nic wspólnego; możnaby więc stąd wywnioskować, że miano to służyło za ogólną nazwę warstwom poślednim (niemieckim i polskim osadnikom), w przeciwstawieniu do stanów uprzywilejowanych (szlachty i duchowieństwa). Skądinąd wiadomo, że około r. 1250 nie skrystalizował się jeszcze ostatecznie w Polsce ustrój stanowy; ale poczerpnięte z danego źródła i przytoczone przez autora szczegóły bynajmniej o tem nie świadczą. Badacz dąży niby do celu drogą analityczną; lecz tu i owdzie, chcąc nie chcąc, syntezą wyłącznie się posługuje. Czytał on różne dzieła, i przyswoił sobie pewne przekonania, które są dla niego gwiazdą przewodnią... Trudno mu jeszcze uwolnić się z pod ich wpływu: stawia je więc niekiedy na miejscu wyników dokonanego rozbioru, dbając w gruncie tylko o pozorną harmonię poglądów i prawidłową dyalektykę. Ta ujemna strona cennej zresztą pracy uwydatnia się głównie na str. 70 i 71, gdzie autor dowieść usiłuje, że na początku drugiej połowy XIII-go wieku były w Polsce „klasy“ społeczne, ale „stanów“ nie było. Taki kontur obrazu zgadza się zupełnie z uprzednią definicyą władzy książęcej. Ponieważ „pan ziemi“ występuje tu jeszcze w pierwotnym, patryarchalnym charakterze, nie nastała zatem epoka rządów „patrymonialnych“ (szeroko o tem rozprawia Bobrzyński), epoka, w której stosunek pomiędzy księciem a stanami polegał na wzajemnym kontrakcie, określonym w licznych przywilejach...“ Oto rozumowanie, które mogło nietylko poprzedzić, ale i przedwcześnie zamknąć podjętą przez badacza pracę analityczną.

Autor utrzymuje, że w rozbieranym przez niego zabytku, zaznaczone są trzy „klasy“ społeczne: wolni, napół-wolni i niewolni. Redaktor pomnika (o ile można przypuszczać na podstawie artykułu 23) dzieli całą ludność na dwie kategorye — wolnych i niewolnych; ale badacz twierdzenie to zalicza do błędnych i nie poddaje się jego wpływowi. „Najmniej powinniśmy, powiada p. W., dowierzać własnym uogólnieniom autora (mowa o układaczu kodeksu); powinniśmy jedynie opierać się na faktach, jakie przytacza.“ Bardzo to dobra zasada; szkoda tylko, że nasz historyk prawa niezawsze się do niej stosuje. Czyż takie wyrażenia, jak: „ein man, der eigen hat“ — „rittermeszig man“ — „gebuer“ — nie są również znakami uogólnień mimowolnych, niewyrozumowanemi zapewne i nieustalonemi, w charakterze terminów prawnych, nazwami? Czemuż na nich poważne budował wnioski?

Kategoryę wolnych dzieli p. Winawer, na sześć grup, z których każda pewnemi jakoby nacechowana jest odrębnościami: pierwszą stanowią rycerze, drugą — „ludzie rycerzom równi,“ trzecią — posiadacze ziemi, czwartą — duchowieństwo, piątą—kupcy, szóstą— wolni kmiecie. Wyrażenie „ludzie rycerzom równi,“ jako nazwa „klasy,“ okazuje się pustym frazesem; zabytek bowiem żadnych pod tym względem nie przedstawia wyjaśnień. W podobnem położeniu znalazł się autor wobec grupy „man, der eigen hat:“ pomógł mu jednak Kętrzyński*), dostarczeniem wiadomości o odrębnej klasie drobnych ziemian („kleine freie“). Nie jest to wszelako szczegół, poczerpnięty z pomnika. Trudno zresztą dowieść, że owi „ziemianie“ stanowili jeszcze w połowie XIII-go wieku osobną po za rycerstwem gromadę. Nie zwrócił nakoniec badacz uwagi na to, że pod wyrażeniem „man, der eigen hat“ wypadałoby, oprócz rycerza, pojmować także członka stanu duchownego. Nie wiele również mógł nam powiedzieć autor o „wolnych kmieciach.“ Wiemy zaledwo o ich istnieniu. Ważną dla badacza okoliczność przedstawia szczegół, że uchodzącą dziś za pierwowzór, dawną, znamieniem XIV-go stulecia nacechowaną podobiznę zabytku przerywa nieznany kopista w tem właśnie miejscu, gdzie zaczyna się mowa o „wolnych kmieciach“ („vrie luthe“ — freie Leute). Jest to, według mniemania autora, jasny dowód, iż „książka przepisana została wtedy, gdy wskutek rożnych przyczyn klasa wolnych kmieci znikła (?), a wiadomość o niej nie budziła już wielkiego interesu.“ Wzmianek więc o położeniu tej grupy społecznej — prawie nie ma w starodawnym pomniku. Domyśla się ich wszakże młody nasz badacz w art. 10-ym i 26-ym, gdzie wolnego kmiecia ochrzczono bałamutnem mianem „gebuer.“ Argumentacya tylko, niestety, jaką w danym kierunku rozwinął, mglisto-subtelna, a wbrew teoretycznie przyjętej zasadzie — na wątpliwej różnicy terminów („herr“ i „richter“) oparta, do żadnych nie doprowadziła rezultatów.

(D. n.)

A. G. B.

*) Wyrażenie „*uf* synen gebuer“ ma znaczyć w przekładzie Helcla — „o swego kmiecia;“ w przekładzie p. W. — „ze swoim kmieciem.“

*) *O ludności polskiej w Prusach, niegdyś krzyżackich* (1882).

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Stanisław hr. Wodzicki: *Pamiętniki*. Kraków, 1882, str. 432.

Jednym z znamienniejszych objawów piśmiennictwa naszego z pierwszej połowy bieżącego stulecia jest nadmierna obfitość pamiętników. Wychodziły one zwyczajnie z pod pióra ludzi, którzy współcześnie wybitniejsze piastowali stanowiska i urzędy a w wirze wypadków politycznych czynny brali udział. Nie mając powołania na dziejopisów swej epoki, lub nie posiadając po temu odpowiednich zdolności pod koniec życia, anegdotycznym sposobem spisują zdarzenia, których byli świadkami lub sprawcami. Przyszły historyk w niemałym będzie kłopocie przy korzystaniu z owych zapisków. Lubo wielu bowiem z pamiętnikarzy zasługuje na bezwzględną wiarę a przekazaniem ważnych i ciekawych szczegółów niemało oddało historyi przysługę, to jednak wspólnym rysem całej owej literatury jest to, że mała tylko stosunkowo liczba autorów umiała się zdobyć na sąd o stosunkach zupełnie przedmiotowy i bezstronny. Opowiadania o wypadkach, w których autorowie uczestniczyli bezpośrednio, zwyczajnie zabarwione bywają osobistymi poglądami i jeżeli wiernym bywa opis faktyczny, to natomiast bardzo niewiele tylko wagi przywiązywać można do wywodów, którymi wyjaśniają przyczyny lub skutki. Nierzadko też mimo zapewnień bezstronności przebija się w osnowie pewna stronniczość względem własnych spraw i działań. Jaskrawo występuje rys powyższy w ogłoszonych świeżo pamiętnikach Stanisława hr. Wodzickiego prezydenta senatu b. rzeczypospolitej krakowskiej. Odnoszą się one do mało rozświeconego okresu dziejów rzeczypospolitej krakowskiej i zawierają historyę rządów autora od r. 1815 do 1831. Wodzicki prowadzi swą opowieść chronologicznie, mianowicie mówi o organizacyi rzeczypospolitej, jej stanowisku politycznem w stosunku do trzech opiekuńczych dworów, wreszcie na tle dziejów wewnętrznych małego kraiku o własnych losach i czynach. Mieści się tu dosadna charakterystyka ówczesnego życia krakowskiego. Partykularyzm i przesadne wyobrażenia o swem znaczeniu, będące do dziś jedną z cech Krakowa, znalazł w ówczesnych warunkach najlepszą sposobność do ukazania się w pełni. Po ukonstytuowaniu senatu toczą się zaraz na wstępie długie rozprawy o konieczności wysłania ambasadorów do wszystkich dworów europejskich, o potrzebie ustanowienia galowych złotem wyszywanych mundurów dla senatorów i urzędników, o ustanowieniu orderów krakowskich, słowem o wszystkiem, tylko nie o tem, co istotnie wymagało jak najrychlejszego załatwienia. Cały okres istnienia rządu i senatu rzeczypospolitej — to jedna ciągła i nieustająca burza w szklance wody, podsycana śmieszną ambicyą mieszczan i antagonizmem prawdziwie małomiasteczkowym. Najwięcej miejsca poświęca autor zawikłaniom i nieporozumieniom między senatem, uniwersytetem i izbą sądową o zakres działania, które wzrastając nieustannie, spowodowały w końcu interwencyę rządów i zniesienie rzeczypospolitej. Spór ten, w którym i rozruchy studenckie nie małą odegrały rolę, wyjaśnia Wodzicki szczegółowo, nie szczędząc szarych barw na odmalowaniu ówczesnego rektora Likowskiego, swego największego przeciwnika, którego intrygom większą część owych zawikłań przypisuje. Opowiadanie swe doprowadza do r. 1831 — chwili, w której zmuszony został ustąpić.

Jako materyał historyczny pamiętniki Wodzickiego o tyle tylko mogą mieć war-

tość, o ile zawierają opis rzeczywistych zdarzeń i wypadków, komentarze bowiem autora i jego poglądy osobiste nie zawsze posiadają znamiona bezstronności. Jako konserwatysta z krwi i przekonania, co wyraźnie zaznacza, zapatruje się on wszędzie na przebieg wypadków ze swego stanowiska a zasady owe wsparte upodobaniem do absolutyzmu stawiały go niejednokrotnie w sprzeczności z rządem i opinią publiczną, w końcu zaś istotnie spowodowały jego usunięcie.

W całym tomie pamiętników nazbyt wyraźnie przebija chęć samochwalstwa; autor nie pomija żadnego szczegółu, który działalność jego w korzystnem przedstawia świetle, wszystkie niepomyślne zdarzenia przypisując „intrydze demagogów.“ Dla uzupełnienia całości wizerunku własnego, przytacza skwapliwie wszystkie odznaczenia, dekrety, uznania rządów i dworów, jakie go w ciągu służby spotkały, wysuwając tym sposobem własną swą osobę na pierwszy plan. Ten jednak panegiryczny ton sprawia, że czytający mimowoli traci wiarę w bezstronność opowiadań magnata, którego ambicyę mile drażniło, że mógł być udzielnym królikiem choćby na krześle prezydenta rzeczypospolitej krakowskiej. Współczesne dzienniki wiele wytknęły złego w działalności Wodzickiego, a najsłuszniejszym i faktami uzasadnionym jest zarzut niechęci jego dla mieszczaństwa i absolutyzm w wykonywaniu władzy, tak mało licujący ze współczesnymi prądami i stosunkami. Okoliczność ta dostatecznie wyjaśnia źródło niechęci stanów dla jego osoby. Nie doczekawszy się biografa, autor sam zapragnął pamięć zasług i czynów swych przekazać potomności, a zadania tego dopełnił z wielką skrupulatnością.

W. P.

TEATR NIEMIECKI.

Nowe teatry berlińskie i ich repertuar w pierwszej połowie sezonu: „Berliner Theater“ Barnaya i „Lessing-Theater“ Blumenthala.— Oldena „Ilza,“ Schönfelda „Mit fremden Federn,“ Ryszarda Vossa „Ewa,“ Blumenthala „Anton Anthony,“ Mosera „Unkraut,“ Vossa „Zwieschen zwei Bergen.“ — Co grywano w Wallnertheater, w Residenztheater i w Schauspielhaus. — Deutsches Theater i premiera Lindaua „Die beiden Leonoren.“ — Dramaty książkowe: Bauernfelda „Alkibiades,“ Bleibtreua „Schicksal“ i „Weltgericht.“ — Genialna reklama i genialna amputacya dramatów.

Berlin, którego znaczenie polityczne i ekonomiczne wzrasta wraz z napływającą doń coraz gromadniej ludnością i który prześcignął już Wiedeń w hierarchii stolic światowych, ilością i doborem scen pobił dawno Monachium, Drezno, Lipsk i Frankfurt, a obecnie i z Wiedniem skutecznie współzawodniczy. Z początkiem sezonu bieżącego otwarte zostały dwa nowe teatry w Berlinie. Dawniejszy „Walhalla“ rozwinął się na wielki teatr, dla klas średnich przeznaczony, pod nazwą „Berliner Theater,“ a pod kierownictwem wybornego artysty i reżysera Ludwika Barnaya. Zdumiewająco nizkie ceny (3 marki za krzesło pierwszego rzędu) zapewniają scenie tej poparcie u klas, dla których dotychczas teatry były nieprzystępne. Na innej zupełnie podstawie ufundował znany komedyopisarz Oskar Blumenthal teatr swój, zwany „Lessing-Theater.“ Wysokość opłat, wystawność budowy i urządzenia, samo wreszcie położenie przybytku tego w pobliżu Placu Królewskiego i Zwierzyńca, okazuje, iż to teatr przeznaczony dla ludzi zamożnych, przyzwyczajonych do zbytku.

Scena Barnaya pielęgnować zamierza, obok dramatu współczesnego, klasyczny. Rozpocząwszy „Demetryuszem“ Schillera, w opracowaniu Laubego, wystawił Barnay „Narzeczoną z Messyny,“ „Medeę“ i „Uriela Acostę“; z nowości naprzód Oldena „Ilzę“ i Schönfelda „Mit fremden Federn.“ Są to prace aktorskie o małej wartości, osnute z pewną rutyną sceniczną na motywach pożyczonych od autorów francuskich. Uwagi godnym był dramat ulubionego dziś Ryszarda Vossa „Ewa,“ aczkolwiek nie należy do najlepszych utworów tego autora. Ewa jest córką hrabiego, który rzetelnego i zamożnego fabrykanta nakłonił do spekulacyj lekkomyślnych. Kiedy „krach“ nieuniknionу nadchodzi, Hartwig kredytem swym i pracą rzetelną ratuje udziały tych, co im zaufali, a Ewa ulegając chwilowemu porywowi, oddaje mu swą rękę. Atoli wnet zraża ją ciasność stosunków, w jakie Hartwig ją wprowadził, a kiedy dawny jej narzeczony, Glimar, zbliża się do niej, porzuca ona męża i ucieka do Glimara, przekonana, iż ten połączy się z nią ślubem małżeńskim. Kiedy uwodziciel cofa się, Ewa zabija go wystrzałem z rewolweru. W piątym akcie widzimy Ewę w szpitalu więziennym, umierającą w ramionach Hartwiga. Nie bardzo ujmie was ten dramat modnego autora, zwłaszcza jeżeli dodamy, że pomiędzy aktami upływa zawsze po lat parę. Nadmienić jeszcze powinniśmy, że scena Barnaya łączy niepoślednie siły dramatyczne: Barnay sam, najlepszy dziś jeszcze w Niemczech Uriel Acosta, Fryderyk Haase, Klara Ziegler i Hedwig Niemann-Raabe, to artyści, których widzieć warto.

Blumenthala „Lessing-Theater“ rozporządza również siłami przyciągającemi. W skład sceny tej wchodzą Ernest Dossart, Hermina Claar-Delia i Lilli Petri, w której upatrują rywalkę pani Niemann-Raabe. Blumenthal zamyśla uprawiać wyłącznie utwory pisarzy żyjących i nazywa scenę swą „Theater der Lebenden.“ Rozpoczął on szereg nowości własną komedyą „Anton Anthony,“ w której przedstawia zabawną próżność aktora, wsławionego nagle i bez zasługi własnej. Temat wdzięczny a i studyów nie brak było autorowi w Berlinie, gdzie obok świeczników istotnych tyle kręci się geniuszów w rozumieniu własnem. Sztuka jednak nie miała powodzenia. Upadła też komedya Mosera p. t. „Unkraut.“ Chwastami zwie autor młodych donżuanów, którzy burzą szczęście domowe małżeństw. Autor usuwa je, żeniąc owych paniczyków. Ryszarda Vossa „Zwischen zwei Bergen“ cierpi na podobne wady, jak „Ewa.“ Pomiędzy aktem pierwszym a drugim upływa lat trzynaście. Hrabia Castell-Valley złamał wiarę żonie swej, która w gniewie opuszcza dom jego, zabierając córeczkę dwuletnią. W drugim akcie o piętnastoletnią już spierać się zaczyna surowa matka z mężem swym, który przez ten czas żył sobie wesoło, nie myśląc o córce. Nieprawdopodobności tego starcia autor bynajmniej nie zmniejsza zręcznie wplecionymi epizodami.

Inne sceny berlińskie mało wystawiły nowości oryginalnych. Wallner - Theater i Residenz-Theater żyły wyłącznie niemal sztukami francuskiemi.

Schauspielhaus wystąpił z patryotycznym dramatem Wildenbrucha „Die Quitrosis,“ dzięki któremu autor w tych dniach odznaczony został przez cesarza niemieckiego, ale który dla scen i publiczności nieniemieckich zajmującym być nie może.

„Deutsches-Theater“ natomiast odniósł istotne zwycięztwo komedyą Pawła Lindau p. t. „Die beiden Leonoren.“ Młody dyplomata Wieberg, bywając w domu podstarzałego już a zamożnego radcy sądowego, zdobywa serce przystojnej jeszcze małżonki jego Leonory. Coraz bliżsi są przestępstwa, gdy wtem wraca z pensyi młoda, prześliczna córka pani Leonory. Namyśliwszy się, Wieberg ku niej zwraca swe uczucia, a matka jej, przezwyciężywszy obrażoną próżność, oddaje mu jej rękę, zadowolona, że nie popełniła głupstwa i z cnotliwym zamiarem być nadal czułą małżonką. W ramach akcyi tej Lindau wiele umieścił spostrzeżeń trafnych, a wstrzymując się od tanich efektów i od karykatur, starał się działać charakterystyką, odpowiadającą prawdzie życiowej.

Zdawałoby się, że po otwarciu dwóch nowych teatrów w Berlinie, każdy utwór dobry znajdzie sposobność ukazania się, że zwłaszcza sztuki poważne przejdą z druku na scenę. Atoli nowe te teatry z prac współczesnych przyjmują tylko komedye lub dramaty sensacyjne, jak „Ewę“ Vossa, a o ile wystawiają tragedyę, trzymają się repertuaru klasycznego. Właściwa wina smutnego tego stanu rzeczy ciąży na smaku publiczności, nie na dyrekcyach. Są to teatry prywatne, które muszą myśleć o bilansie. A jednak, kiedy rozejrzymy się po książkowej literaturze dramatycznej, znajdziemy niejedną rzecz poważną, o głębszej wartości, a napisaną scenicznie.

Taką jest pięcioaktowa tragedya Bauernfelda „Alcybiades.“ Bauernfeld, którego utwory bez wyjątku prawie grywane były w Burgu wiedeńskim i który pomiędzy pisarzami niemieckimi, schodzącymi dziś z areny życia, wyszczególnia się szlachetnością kierunku, jeszcze w młodości swej, bo w r. 1826, powziął myśl do tego utworu. Zajmowała go ona w ciągu długiego jego życia. Pierwsze opracowanie p. t. „Koniec Alcybiadesa“ nie zadowoliło samego autora, a sztuka przedstawiona w Burgteatrze wiedeńskim 1883 r., miała tylko względne powodzenie. Obecnie, w osiemdziesiątym siódmym roku życia, poeta, wróciwszy do ulubionego swego tematu, przedstawił postać i losy genialnego wodza greckiego w pięciu aktach tak jędrnych, świeżych i potężnych, że nie starcowi, ale młodzieńcowi przypisać by je można. „Alcybiades“ pisany jest na wzór rzymskich dramatów Shakespeare'a, zdumiewa jędrnością dyalogu i krótkością aktów. Bauernfeld korzystał też w pełni ze swobód, jakie Shakespeare wprowadzał, łamiąc z tradycyą jedności czasu i miejsca. Osnowa rozwija się w Atenach i w Sparcie, Aegos Potamos, a pomiędzy aktami upływają lata. Mimo okoliczności tych, które jak niegdyś z reguła poetyki, tak dziś sprzeczne są z wymaganiami ducha nowoczesnego, mniej skoro go do iluzyj — utwór Bauernfelda porywa tem, co uznanem być musi w każdej szkole literackiej, skoro istotnie dzieło ożywia: rzeczywistą siłą poetycką. Dramat rozpoczyna się w Atenach w dzień po obaleniu Hermów. Mieszczanie, podejrzywający Alcybiadesa o zbrodnię tę, chcą wstrzymać odpłynięcie floty, która pod rozkazami jego udać się ma do Sycylii. Atoli wymowa Alcybiadesa porywa lud i flota odpływa. W akcie drugim bohater, zaocznie skazany w Atenach, odstąpić musiał dowództwo Nikiaszowi, a sam z gronem przyjaciół uciekł do Sparty. Przebrany i niepoznany odniósł zwycięztwo w turnieju spartańskim; wiodą go przed starego króla Agisa i królowę Timeę, piękną a dumną. Tu występuje Alcybiades jako zdobywca serc kobiecych. Wpatrzywszy się śmiało w królowę, nieznany zwycięzca każe się jej domyślać, kim jest. Jest to scena przypominająca Koriolana, przybywającego do wodza nieprzyjacielskiego, jednak nie bez barw oryginalnych. Alcybiades zdobywa serce królowej, a za jej wpływem spartanie pod wodzą jego zwracają się przeciw Atenom. Zajmującym i pięknie skreślonym jest stosunek gladkiego ateńczyka do surowej królowy spartańskiej. Wypełnia on akt trzeci. Pomiędzy trzecim i czwartym, Alcybiades porzucił był Timeę i spartan, a porozumiawszy się z królem perskim, wrócił do Aten, gdzie przyjęto go z uniesieniem. Właśnie zręczny dyplomata i wódz wybiera się do Aegos Potamos, gdzie stoczyć ma bitwę ze spartanami; wtem przybywa doń Timandra, córka zmarłego przyjaciela Alcybiadesa. Poświęcona bogini Artemis, a nie czując powołania do surowej tej służby,

uszła i u Alcybiadesa szuka schronienia. On, ujęty wdziękiem jej, duchem i sercem, chroni Timandrę przed kapłanką Manto, która ją ściga. Towarzyszy mu ona w wyprawie przeciw Sparcie. Tymczasem w obozie nieprzyjacielskim królowa Timea, obrażona śmiertelnie za opuszczenie, gotuje mu zemstę wraz z satrapą perskim, Farnabasem, którego krewną, Mandanę, uwiódł był Alcybiades, bawiąc na dworze perskim. W akcie piątym prześliczną scenę wysnuł poeta z owej chwili dramatycznej, która u niemców zwie się „Moment der letzten Spannung.“ Umarł król Agis, a Timea, uzyskawszy wolność, zapomina o urazie doznanej przez Alcybiadesa i udaje się do obozu jego, by mu ofiarować rękę, a wraz z nią pokój. Ale Alcybiades, rozkochany w młodej Timandrze, zręcznie się wymawia; a w tej chwili łucznik Farnabasa, ukryty za krzewami, wypuszcza nań strzałę jadowitą. „Tę strzałę Mandana ci przysyła!“ woła łucznik, wychodząc z ukrycia.

Tragedya pisana prozą; tylko w scenach pełnych uniesienia słowa wiążą się w rytmy swobodne, zastosowane zupełnie do charakteru myśli i uczuć wyrażonych.

Jeżeli w Bauernfeldzie żegnamy jednego z tych nielicznych autorów, co zamiast ulegać spaczonemu smakowi rozbawionej publiczności, zmuszali ją do zapoznawania się z lepszym, szlachetniejszym kierunkiem, to w Karolu Bleibtreu'u, bądź co bądź, powitać należy podobnie silną indywidualność, walczącą nieugięcie ze smakiem publiczności i krytyki panującej. Co do autora tego zniechęca — to dziwne stanowisko, jakie on w literaturze zajmuje i niesmaczny sposób, w jaki dobija się uznania i znaczenia. Wiadomo, że obok M. G. Conrada stoi on na czele młodych realistów niemieckich. Nie mając przystępu do pism literackich i codziennych, opiera się dziś wyłącznie na miesięczniku "Die Gesellschaft,“ który jest wyłącznym organem jego i Conrada. W piśmie tem on sam, współpracownicy jego i nakładca podnoszą prace jego pod niebiosa. Reklama, urządzona niby dla „dobrej sprawy“ realizmu, przekracza wszystko, co dotychczas znała literatura w tym kierunku. Formalnie zdumiewające są np. ogłoszenia następujące, drukowane w "Die Gesellschaft“: „Schicksal,“ dramat w 5 aktach. Już za pierwszem pojawieniem się wspaniałej tej tragedyi charakterów, zmusiła ona przeciwników autora do uznania; zwracano się tylko przeciw końcowi. Teraz atoli, po genialnej amputacyi i przekształceniu drugiej części, kwestya Napoleona, o której rozwiązanie tylu już daremnie się kusiło, po raz pierwszy w dramacie tym z całą pełnią i szerokością w samych korzeni jest uchwyconą i przedstawioną. Potężna, porywająca akcya łączy się tu teraz ze wspaniałą koncepcyą myślową, a przedewszystkiem z obfitą, mistrzowską charakterystyką, w obraz harmonijny.“

A poniżej: „Weltgericht,“ dramat w 5 aktach. Dramat ten stawia Bleibtreua w pierwszym rzędzie dramaturgów współczesnych. Bardziej jeszcze aniżeli w „Schicksal,“ okazuje on się tu na wyżynie talentu swego. W „Weltgericht“ stworzonym został dramat historyczno-polityczny wielkiego stylu, a zarazem dramat realistyczny wielkiego stylu.“

Prawdziwie, osłupieć można. Kiedy autor sam wydał taką krytykę — bo kto zna pióro Bleibtreua, w każdem słowie tego niby księgarskiego ogłoszenia poznaje łapę lwa — cóż niemiały czytelnik, cóż krytyk najżyczliwszy z utworami tymi pocznie? Kiedy ktoś wychwala dzieła swe w sposób, przypominający „pflanzmacherów“ przed niemieckiemi budami jarmarcznemi, z których każda mieści ósmy cud świata, mimowoli czytelnik staje się nieufnym. W budzie pokazują piękną Galateę, którą Pygmalion ożywił, Bleibtreu chce nam okazać poezyę, w którą pierwszy wlał ducha; więc mimowoli przypuszczamy, że w utworach jego będzie jakiś „Pflanz,“ podobnie jak w owej Galatei jarmarcznej. A jednak, skoro pozbędziemy się uprzedzenia, jakiem sam autor czytelników napełnia, poznamy w Bleibtreu'u prawdziwego poetę i istotny talent dramatyczny. W „Weltgericht,“ dramacie napisanym na stuletnią rocznicę wielkiej rewolucyi francuskiej, przedstawione są główne chwile tego przewrotu. Bleibtreu mieni utwór swój dramatem bez bohatera; chce on, w przewodniej idei swej, uwydatnić nicość znaczenia ludzkiego i usiłowań ludzkich, a zatem ma cały szereg bohaterów. Widzimy wielkość i upadek Dantona, Robespierre'a, H. Justa, Marata, przy końcu Napoleona, opanowującego sytuacyę. W tym szeregu ginących bohaterów tkwi nie piękno tragiczne utworu, jak nas zapewniają przyjaciele Bleibtreua; tryumfują oni, że mistrz ich obalił czynem swym kodeks dramatyczny Gustawa Freytaga, dopuszczający najwięcej dwóch bohaterów. W akcyę wielką, ogarniającą społeczeństwo całe, wplecione są mniejsze tragedye, osnute na smutnym losie kobiet: Maryi Sombreuil, Madame Roland, Lenchen Duplay. Bleibtreu układem scen, krótkością i jędrnością dyalogu okazuje wyraźnie, że pragnąłby zdobyć scenę dla realistycznego swego dramatu. Pełen intuicyi poetyckiej, kreśli on postacie myślących żyrondystów, dzikich terorystów, upojonych krwią, marzycieli i ludzi ambitnych. Stara się w każdem słowie oddać koloryt historyczny, a zarazem nie opuszczać gruntu realistycznego; w fatalny sposób mieszają mu się miejscami zwroty czysto berlińskie z tym językiem starannie rzeźbionym. Umie on charakteryzować, zdaje się chwilami, że istotnie odgadł i okazał nam wnętrze mężów wielkiej rewolucyi. Z tem wszystkiem dzieło nie robi owego harmonijnego wrażenia, o jakiem mówią poplecznicy Bleibtreua; i mimo iż autor sam o niem powiada, że „dopiero po przeczytaniu dramatu tego pozna świat, czego chcę i co umiem,“ sądzimy, iż Bleibtreu napisze jeszcze rzecz dojrzalszą. Przy samym końcu utworu autor, który zresztą bezsprzecznie dobrze przetrawił dzieje czasów, które przedstawia, stracił z oczu perspektywę historyi. Po wszystkich walkach i przewrotach, z których wyróść miało zbawienie społeczeństwa francuskiego i ludzkości całej, przychodzi Napoleon i nazwiskiem swem jakby szyderstwem historyi zamyka obraz roztoczony w utworze. Dobre to dla nas epigonów, znających całe późniejsze znaczenie Napoleona, ale autor powinien był zważyć, że dla współczesnych przyszły bohater nie istniał jeszcze. Zapewne więc autor i ten utwór podda „genialnej amputacyi.“

Ladawa.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wyznanie braku wiedzy i niemożność wyjaśnienia tajemnic karnawałowych. — Lichy fejletonista. — Rozbawiona prasa. — *Czyżby* i inne rozwiązania zagadnień społecznych. — Obietnica dróg żelaznych. — Co one będą wypróbowywały. — Logika stanowa: w sprawie Strzeleckich i księdza Swinarskiego. — Kantory nauczycielek jako targi inwentarza pedagogicznego. — Stowarzyszenie ubezpieczające potrzebę i urażliwą godność.

Macie przed sobą, czytelnicy, we mnie dość rzadki u nas okaz człowieka, który nigdy nie był na balu publicznym. Pozbawiłem się dobrowolnie tej przyjemności cywilizowanego nadwiślanina z trzech powodów: naprzód nie należę wogóle do zbyt ciekawych, powtóre, nie lubię widoku ludzi, kiedy ich dusze ciekną drobnemi kroplami myśli i uczuć, a po trzecie nie mogłem dotąd pozbyć się odrazy do tańczenia lub rantowania na dochód biednych. Ten rodzaj dobroczynności sprawia mi zawsze takie wrażenie, jak gdyby dół i piętra kamienicy, dowiedziawszy, że w suterenie umiera nędzarz, zaczęły nagle tańczyć, ażeby odurzony hałasem nie czuł bólu i ażeby z wystawnych kolacyj litościwego państwa dostał resztki. Wtedy jałmużna strąca się jako procent od zbytku. Niewielu miałem współwyznawców tego poglądu, a nieraz spotykałem braciszków i siostrzyczki miłosierdzia, którzy dowodzili, że bal jest bardzo szlachetną postacią miłości bliźniego, że można i trzeba tańczyć na oświatę, głód, bank ratunkowy itd. Ponieważ zaś nie przypuszczam, ażeby ten wielki balet ochotniczy, który się nazywa „towarzystwem“ Warszawy, zmienił swoje upodobania, przeto nie umiem objaśnić właściwej przyczyny niepowodzeń kapłanów Talii. Oryginalności nie żałowali: obmyślili aż dwa bale: „pudrowany“ i „à la Micado,“ nadwiślański corps de balet do puszczenia się w tany zawsze gotów — czegóż więc brakło? Nie wiem — i oto skutek mojego niedoświadczenia. Ktoś inny wytłomaczyłby wam, czem pobłądził „pudrowany“ lub „Mikado,“ jakich omyłek w przyszłości unikać należy — a ja wobec Sfinksa karnawałowego stoję bezwładny i bezradny, daremnie trudząc się rozwiązaniem jego zagadki, pomimo że pode mną tańczą, nade mną tańczą i obok mnie tańczą! Co wart taki fejletonista, który w styczniu nie może zdobyć się na filozofię karnawału!

Tem słuszniej zasługuje on na wyrzut, że przynajmniej pewna część prasy naszej dostarcza mu sposobności do wykształcenia się w nastroju zapustnym. Rzeczywiście niektóre z pism są tak rozbawione, rozkonceptowane, jak gdyby ich redaktorami byli Fikalscy, jak gdyby w ich kolumnach ciągnął się nieprzerwany mazur. Wzmianki o najpoważniejszych i najboleśniejszych sprawach brzmią jak holupce, artykuły — przypominają walca lub polkę, polemiki — kontredans. Wszystko w tych salonach załatwia się wesoło, z kieliszkiem w ręku, z konceptem na ustach. Niedawno spotkałem taką notatkę: „Spółka kapitalistów zagranicznych zamierza u nas otworzyć fabrykę sztucznego masła. *Czyżby?*“ To „czyżby“ ma coś wyrażać, kogoś ostrzegać, do czegoś zachęcać, a jest pustem słówkiem, przelatującem koło uszu czytelników, jak brzęcząca mucha. Tymczasem niemcy od lat dwu w prasie i parlamencie obradują nad sztucznem masłem i uważają ją za jedną z pierwszorzędnych spraw ekonomicznych. Nam wystarcza proste „czyżby.“ Innym razem reporter pisze: „Znowu kilku agentów przybyło do nas z zamiarem wykupywania zabytków starożytności. Jeden z nich nabył za 100 rs. cenne biurko, które natychmiast odprzedał antykwaryuszowi angielskiemu za 2.000 rs. *Caveant consules.*“ Jacy tu „konsulowie“ mają „czuwać“ — nie powiedziano i gęś Kapitolińska, wykrzykując to ostrzeżenie, nie miała na myśli nikogo i niczego, użyła tej maksymy zamiast „czyżby“ z równem znaczeniem, celem i skutkiem. I gdyby Vanderbildowi lub Makayowi amerykańskiemu podobało się skupić wszystkie domy Warszawy, zawołalibyśmy: „czyżby,“ „caveant consules,“ „that is the question,“ „to be or noth to be“ i — tańczylibyśmy lub spali po zmęczeniu dalej.

W tym nieustającym karnawale dziennikarskim przesuwają się obrazy prawdziwie sielankowej naiwności. Od pewnego czasu prasa zajęła się kolejami żelaznemi, ale co ją najbardziej obchodzi? Nominacye, tranzlokacye i rozmaite przemiany służbowe, właśnie to, o czego najmniej wtrącać się powinna. Kto został naczelnikiem ruchu, a kto naczelnikiem wydziału gospodarczego, czemu Paweł a nie Jan — oto są przedmioty artykułów i artykulików. Natomiast

bez uwag i krytyki ogłoszono wiadomość następującą: „Na tutejszych kolejach żelaznych mają być w lecie zaprowadzone bilety powrotne jedno i kilkodniowe *sposobem próby*.“ To „sposobem próby“ jest klasyczne. Urządzenie, które na wszystkich drogach żelaznych Europy od dawna tak zrosło się z systemem ich gospodarki, jak linki bezpieczeństwa i hamulce, u nas ma być dopiero poddane doświadczeniu — ku wielkiej uciesze dzieciaków zwanych publicznością. Gdyby wiadomość taką przeczytał niemiec lub francuz, pomyślałby sobie: bezczelni uradowali głupich. Bo jakież mieć należy czoło, ażeby obiecywać i jakiż rozum, ażeby za łaskę uznawać to, co jest niespełnionym obowiązkiem? Dopóty „próbowaliśmy“ tramwaje, aż towarzystwo belgijskie przekonało nas, że tej „próby“ Europa dawno dokonała i że teraz ludzie roztropni już tylko powinni z niej korzystać. Obyśmy podobnej lekcyi nie doczekali na kolejach żelaznych. Bo cóż to one mają próbować w biletach powrotnych? Czy się opłacają, czy powiększają ruch, czy stanowią udogodnienie? No, jeżeli któryś z dyrektorów o tem nie wie, potrzebuje tylko wydać dwie kopiejki na papier i kopertę, a siedem na markę i otrzyma objaśnienie z Niemiec lub Francyi. Rzecz dziwna, że bez namysłu wprowadzono lokomotywę i nie „wypróbowano“ wprzód jazdy końmi po szynach.

Raz na zawsze wiedzieć i pamiętać trzeba, że u nas po nad logiką ogólną wznosi się logika stanowa i wyznaniowa. Uczy ona tworzenia wniosków następujących: ponieważ to zrobił szlachcic, więc...; ponieważ to zrobił chłop, więc...; ponieważ to zrobił żyd, więc...; ponieważ to zrobił ksiądz, więc... Wnioski te każdy uzupełnić sobie może według upodobania i stanowiska: szlacheckiego, chłopskiego, żydowskiego, antisemickiego, radykalnego, klerykalnego i t. d. A zatem: jeżeli we Lwowie stoją przed sądem państwo Strzeleccy, oskarżeni o morderstwo i rabunek, to — bez względu na ich winę lub niewinność — wyznawcy owej logiki rozumują tak: ponieważ należą do szlachty, więc z pewnością nie zabijali księdza, lub też: ponieważ należą do szlachty, więc z pewnością targnęli się na życie księdza. Proboszcz kościoła Wszystkich świętych narobił długów, nadużył zaufania wielu ludzi, a podobno nawet naruszył fundusze parafialne. I znowu według jednych: ponieważ był księdzem, więc nie mógł się dopuścić przestępstwa (a w ostatecznym razie: wielka szkoda!), według drugich: ponieważ był księdzem, więc dopuścił się przestępstwa. Aż strach pomyśleć, że my taką logiką żyjemy, kierujemy się we wszystkich sądach, w najważniejszych sprawach. Istota czynu — to dla nas rzecz drugorzędna, główną jest wzgląd, czy bohater lub zbrodniarz pochodzi z *naszych* lub nie z naszych. Co się dzieje w tej sofistyce z rozumem i moralnością — odgadnąć łatwo. Stanęły naprzeciwko siebie rozmaite logiki, etyki, miary i probierze, zapomocą których odbywa się systematyczne fałszerstwo opinii publicznej. Nie wyrkuje ona, jak jedynie powinna, że wszystkie klasy społeczne są zdolne do cnoty i występku, że żadne stanowisko ani nie zapewnia nikomu bezkarności, ani nie skazuje go na potępienie, że szlachcic, chłop, ksiądz, zarówno dostarczają statystyce procentu zbrodni; lecz tworzy stada kruków, czatujących wzajemnie na swoje padliny. Jest to obyczaj wstrętny. Szlachcic zamordował kogoś — po co tu się dziwić? Ksiądz popełnił przeniewierstwo i umknął — po co wywabiać na nim plamy lub w jego osobie stawiać pod pręgierzem wszystkich księży? Ani każdy z nich nie jest dobroczyńcą, ani każdy oszustem. Są tacy i tacy — jak we wszystkich innych zawodach i warstwach. Obłudę i westchnienia pozostawmy dewotkom, a gromy — półgłówkom; kto nie wziął rozbratu z rozumem, niech odsunie się od jednych i drugich i pójdzie drogą sprawiedliwego człowieka.

Wszystkie drogi naszej myśli społecznej prowadzą do... stowarzyszenia. Jakikolwiek wątek spraw publicznych zaczniemy rozsnuwać w kierunku poprawy ich biegu, każdy zaprowadzi nas do tego — Rzymu. W imieniu nauczycielek skarży się nam jedna z nich na kantory. Rzeczywiście, handlujące ich pracą zakłady stręczeń nie odpowiadają ani celowi, ani godności „towaru.“ Każdy, kto złożył 2,000 rs. kaucyi i uzyskał pozwolenie, może otworzyć sobie taki kantor, w którym stosunki i umowy między nabywcami i sprzedawczyniami pracy zawiązują się tak, jak między rolnikiem a wystawionym na jarmarku inwentarzem. Nawet gorzej, bo tu przynajmniej obie strony wnoszą do układów i kupna znajomość rzeczy. Tymczasem, co o nauczycielce może powiedzieć „kundmanowi“ nieukształcona często i tylko w swą prowizyę zapatrzona stręczycielka? Co on sam wybada w nocnym przeglądzie kandydatek, jeżeli jedną z nich pragnie wybrać nie dla siebie, lecz dla swych dzieci? A uwzględnijmy jeszcze w tym targu stronę jego sromotną, kiedy szyld kantoru nauczycielek służy tylko za osłonę dla innych stręczeń. Jak boleśnie ranić muszą godność uczciwej i ukształconej kobiety takie warunki podaży jej pracy! Jeżeli ona nawet nie wpadnie w norę pośrednictwa hańby, to musi złożyć upokarzający egzamin swej powierzchowności i wytrzymać próbę oględzin. Zniknęłaby owa konieczność w stowarzyszeniu pedagogicznem, któreby zajęło się zawiązywaniem i układaniem stosunków tej sfery, któreby ze znajomością i rzetelnością godziło interesy stron obu, dawało rodzinom właściwe nauczycielki, a nauczycielkom właściwe zajęcie. Zapobiegłoby ono nieporozumieniom, pomyłkom, zawodom, partactwu wychowawczemu, a jednocześnie temu nieposzanowaniu dla uczciwych kobiet i ich pożytecznej pracy, które dziś często jeszcze spotykamy w wielu domach. Bo jakże pani z muchami w nosie lub pan z ogniem we krwi mają szanować niewolnicę, którą sobie wynajęli na targu? Ona ma odwagę nią poniewierać, on — do romansu kusić, a przecie — pamiętajmy — jest to wychowawczyni ich dzieci.

Poseł Prawdy.

PRASA RUSKA.

Mosk. Wiedomosti zamieszczają dalszy ciąg listów p. Słuczewskiego o podróży J. C. W. Księcia Włodzimierza.

„Zgodnie z wolą Cesarza, w pobliżu twierdzy nowogeorgiewskiej utworzono pięć osad ruskich, z których cztery, a mianowicie: Aleksandrowskoje (25 chat), Szczypiorno (20 chat), Wójtowstwo-Zakroczym (7 chat), Kosiewko (10 chat) znajduje się w powiecie płońskim, a jedna, Konstantynowskoje (12 chat), w powiecie warszawskim. Wsie w powiecie płońskim zaludnione zostały przez włościan ruskich, sprowadzonych przeważnie z gubernii pskowskiej w liczbie 60 rodzin; wieś zaś Konstantynowskoje zajęli kupcy-starowiercy. Wsie te znajdowały się pod szczególną opieką rządu; włościanom dostarczano wszystkiego: dawano inwentarz żywy, materyał leśny, pozwalano paść bydło na pastwiskach rządowych. Po roku 1864, a mianowicie w r, 1875, wydano rozporządzenie „o prawach włościan we wsiach wokoło twierdzy Nowogeorgiewsk,“ na mocy którego potwierdzono dawne prawa 5 wsi wzmiankowanych a nadto rozciągnięto przywileje osób wszelkich stanów wyznania prawosławnego do sąsiednich wsi: Gałachy, Nowy Modlin, Bronisławka, Kosiewo, Wymysły i Pomiechowo. Mimo to, położenie naszych osadników prawosławnych w chwili obecnej, nie należy do najświetniejszych. Jeżeli np. w 1839 liczono tutaj 100 chat, w r. 1885 pozostało tylko 37. Przyczyną tego było wysiedlenie się w r. 1866 około 60 rodzin z powrotem do gubernii pskowskiej. Od r. 1849 do 1869 przyłączono do prawosławia w dwóch powiatach 137 dusz Myśl Cesarza Mikołaja I sprowadzenia do Polski włościan ruskich była zupełnie słuszna. Później, jakoby w celu rusyfikacyi kraju, uciekano się do innego sposobu, a mianowicie do rozdawania majoratów, tj. do utworzenia większej własności ruskiej. Przy rozdawaniu majoratów po 1831 i 1863 r. cel praktyczny mógłby być osiągnięty tylko w tym wypadku, gdyby rozdawano je z pewną myślą polityczną, tj. jeden obok drugiego, gdyby rozmiary ich były mniejsze, a liczba większa, a wreszcie, gdyby rzeczywiści (a nie fikcyjni) ich właściciele mogli się skupić w jednem miejscu. Lecz tak przy ks. Paszkiewiczu, jak i przy hr. Bergu, majoraty rozdawane były bez żadnej idei politycznej, bez wszelkich zobowiązań dla właścicieli: rozrzucono je wzdłuż granic Prus i Austryi, tak, że utonęły one zupełnie wśród otoczenia polskiego. Myśl osadzenia włościan ruskich w celach rusyfikacyi w kraju Przywiślańskim wydałaby owoce, gdyby ją doprowadzono do końca.

Zupełnie te same sposoby obchodzenia rozporządzeń rządowych, chociażby tylko w sprawie języka ruskiego, wydarzały się tak w guberniach nadbałtyckich, jak i w Królestwie Polskiem, prawie jednocześnie, zacząwszy od roku 1881 i na mocy tych przyczyn. Program przeciwdziałania rządowi jest zupełnie jeden i ten sam, tak tutaj, jak i w prowincyach nadbałtyckich; pod tym względem zupełna solidarność niemców i polaków jest niewątpliwa. A tymczasem nasi niemcy i polacy bardzo dobrze wiedzą, że u nas nikt i nigdy nie myślał o tem, aby czynić zamach na narodowość polską i niemiecką; nikt i nigdy nie zamierzał przeszkadzać ludziom modlić się po luterańsku lub po katolicku i mówić po niemiecku lub po polsku w zwykłem życiu; lecz nie możemy zrzec się ustalenia kościoła i języka państwowego. Nie uznać ich byłoby to samo, co ściągnąć rękę na samę istotę absolutnej i jedynej monarchii i na całą przeszłość Rosyi.

Zboczenie, jakie zrobiliśmy od opisania losów kolonij ruskich pod twierdzą Nowogieorgiewsk, da się w zupełności wytłomaczyć ciekawymi wnioskami z przeprowadzonej przez nas paraleli. Chociaż gubernia Płocka, w której znajdują się rzeczone kolonie, stanowi pewien wyjątek wśród innych gubernij nadwiślańskich, ponieważ ludność jej włościańska zajmuje się przeważnie rolą, nie zaś przemysłem fabrycznym, niemniej jednak w niej, jak i w innych guberniach polskich, zgodnie z raportem naczelnika gubernii za r. 1887, wykłady religii, pozostające w rękach księży, nie są pozbawione „odcienia fanatyzmu,“ a znaczenie żydów wzrosło jeszcze w ostatnich latach, ponieważ właściciele niemcy, wobec niemożności prowadzenia gospodarstwa, sprzedają swoje majątki „przeważnie kapitalistom żydom.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Komisya ministeryum sprawiedliwości, ostatecznie redagująca kodeks karny, postanowiła zastąpić w zasadzie zesłanie na Syberyę zamknięciem w rotach aresztanckich, pozostawiając sądowi prawo zesłania tylko w wyjątkowych razach.

Graždanin donosi, iż majątek nieruchomy i ruchomy, pozostający po obywatelach miast, w razie braku spadkobierców, według nowego projektu przepisów, przechodzić ma na własność miasta, podczas gdy dotąd przechodził tylko nieruchomy, drugi zaś stawał się własnością skarbu. Natomiast mogą być zoprowadzone pewne ulgi w podatkach miejskich.

Szkoły. W gub. radomskiej hr. A. Ożarowska, właścicielka majątku Brzuza pod Kozienicami, założyła w tej wsi prywatną szkołę żeńską, gdzie oprócz zwykłych przedmiotów szkolnych uczą się dziewczęta szycia i innych robót ręcznych. Wszystkich uczennic jest dotąd 50.

— W Piotrkowie od nowego roku powstał pod kierunkiem p. Piaszczyńskiej zakład rękodzielniczy dla kobiet, na wzór takichże zakładów warszawskich. Szkoła obowiązuje się uczyć osiemnaście różnych rzemiosł za opłatą 4 rs. miesięcznie.

— Ogłoszono przepisy, dotyczące wzmocnienia nadzoru nad szkołami ludowemi w gub. kijowskiej i wołyńskiej. Na potrzeby inspekcyi szkół ludowych przeznaczono (od r. 1889) po 4,000 rs. rocznie.

— Od przyszłego semestru w oddziałach przygotowawczych szkoły politechnicznej ruskiej wszystkie przedmioty wykładane będą w języku ruskim.

Ubezpieczenia kolejowe. Ministeryum komunikacyi (według *Now. Wr.*) zamierza zabronić kolejom, korzystającym z dopłat gwarancyjnych, ubezpieczania budynków w Towarzystwach ubezpieczeń. Natomiast postanowiono, aby koleje te odliczały corocznie pewien procent na utworzenie funduszu asekuracyjnego, albo pokrywały straty z kapitałów eksploatacyjnych, rozkładając spłatę, w razie znaczyiejszych szkód, na lat kilka.

Wprowadzenie maszyn do chińskich fabryk jedwabiu stało się powodem krwawych bójek pomiędzy robotnikami użytymi do maszyn a pracującymi ręcznie. Osiem osób zostało zabitych a kilkadziesiąt ranionych.

Na wyspie Hawai największy wulkan, Kilawea, według wiadomości z San-Francisco, grozi wybuchem. Z wnętrza jego wydobywają się olbrzymie słupy dymu i strumienie lawy.

Poczta i telegraf. Departament poczt i telegrafów wydał rozporządzenie, aby na stacyach telegraficznych bezwarunkowo nie przyjmowano od osób prywatnych depesz, adresowanych do Rady państwa, Komitetu ministrów i Senatu rządzącego.

Przeciw niewolnictwu. W Monachium odbyło się posiedzenie Towarzystwa, proponującego zniesienie niewolnictwa. Między innymi przemawiał konsul generalny Rohlfs, przedstawiając opłakany stan niewolników w Afryce. W samej Trypolidzie do 30,000 rocznie sprzedają tych nieszczęśliwców. Dwa miliony (?) murzynów ginie corocznie. 60-ciu handlarzy arabów teroryzuje całą wschodnią Afrykę. Mówca odmawia arabom wszelkiej cywilizacyi, twierdzi, że wzbronienie handlu niewolnikami na wybrzeżu Zanzibaru, w połączeniu z zakazem wywożenia żywego towaru na pokładach okrętów wojennych, poparte siłą nie więcej jak 500 żołnierzy, w znacznej części stłumiłyby rozmiary zlego.

Drogi wodne. Przy ministeryum komunikacyi utworzono komisyę dla obmyślenia środków uregulowania dróg wodnych. Między innymi podjęto projekt użycia na ten cel opłat od wysyłających ładunki i właścicieli statków przy zniesieniu opłat, pobieranych od nich dotąd na rzecz miast i osób prywatnych.

W zbiorze praw i rozporządzeń rządowych ogłoszon przepisy ministeryum dóbr państwa co do udzielania szkołom ludowym, duchownym i innym roślin i nasion z zakładów gospodarstwa wiejskiego, należących do tegoż ministeryum.

Komisya rolnicza, istniejąca pod przewodnictwem senatora Plewego, prowadzi obecnie narady nad sprawą ubezpieczeń rolnych. Komisya doszła do przekonania, iż ubezpieczenie w towkrzystwach akcyjnych jest zbyt drogiem, prywatne zaś towarzystwa wzajemne są słabo rozwinięte. Wobec takiego stanu rzeczy poruszono sprawę ubezpieczeń państwowych, a przynajmniej reasekuracyi pewnej części ubezpieczeń wzajemnych przez państwo.

Pokątne doradztwo. Wyższe władze sądowe mają przedsięwziąć kroki przeciw powiększaniu się liczby pokątnych doradców. Celem obmyślenia w tej sprawie środków, powstanie specyalna komisya, złożona z przedstawicieli sądownictwa, adwokatów i policyi.

Zakaz. Postanowiono zawiesić drukowanie ogłoszeń prywatnych w *Rusk. Kuryerze* i zabronić sprzedaży pojedynczych numerów tego pisma.

Z Merwu donoszą, iż w kraju Zakaspijskim panują niesłychane mrozy. Ludność cierpi strasznie. Po stepach leżą stada zmarzniętych kóz.

Egzaminy. Wskutek postanowienia ministeryum oświaty, kobiety mogą składać egzamin w warszawskiej szkole felczerów na felczerki, według programu dla mężczyzn ustanowionego.

Sprawy kolejowe. Dla dróg Wiedeńskiej i Bydgoskiej poruszono w sferach rządowych (podług *Gaz. pols.*) projekt następującej osnowy: Po dokonaniu likwidacyi i opłaceniu składek, niemającym lat 10 służby, towarzystwo kolei dla kategoryi posiadających obecnie prawa emerytalne, zapewniałoby wysłużone przywileje emerytalne w ten sposób, że interesanci zrzekną się zwrotu składek i dopłat, czyli przekażą fundusze swoje na rzecz towarzystwa, a nadto dobrowolnie w dalszym ciągu dopłacać będą 4% od pobieranych płac, a w zamian przy wyjściu ze służby otrzymywać mają z kasy towarzystwa kolei pensye emerytalne w stosunku wysłużonych lat, do czasu zniesienia kasy zjednoczenia, tj. do końca grudnia r. z. Ponieważ przy przeprowadzeniu tego projektu faktycznie dzisiejsza kasa byłaby zwinięta, ogół więc służby, stosownie do rozporządzenia władzy, obowiązkowo należeć będzie do nowej kasy, w której na nowo wysługiwać ma prawa emerytalne podług przepisów ustawy normalnej.

— Ministeryum komunikacyi podało wniosek, aby na wszystkich tutejszych kolejach, z wyjątkiem Dąbrowskiej, posiadającej kasę podług ustawy normalnej, zakładano wyłącznie tylko kasy emerytalne, mające obowiązywać całą służbę kolejową, nawet rzemieślników, jak się to praktykuje na kolejach południowo-zachodnich. Wyznaczono przy departamencie kolejowym komisyę, złożoną z przedstawicieli różnych dróg żelaznych pod przewodnictwem p. Maleszewskiego (naczelnika kontroli dróg Południowo-Zachodnich i autora ustawy normalnej), której poruczone zostało wypracowanie szczegółowych przepisów, odnoszących się do urządzenia wewnętrznego nowych kas, jako też likwidacyi dawnych.

Departament lekarski rozesłał okólnik do wszystkich konsystorzów różnych wyznań, aby te poleciły duchowieństwu wpływać z ambon na lud co do obowiązkowego szczepienia dzieciom ospy ochronnej.

W Łodzi, w fabryce Poznańskiego, utworzono posadę inspektora bezpieczeństwa, którego obowiązkiem jest przestrzegać zachowania środków ostrożności. Pod jego okiem odbywają się wszelkie naprawy maszyn w czasie ich czynności. Ustawia on robotników tak, aby nie groziło im żadne niebezpieczeństwo. Warto, aby inne fabryki poszły za tym przykładem.

Przemysł. Za rogatką Wolską puszczono w ruch parową fabrykę sztucznego masła z tłuszczu wołowego wyłącznie dla zagranicy. Założycielami są miejscowi kapitaliści.

Wyroki sądów gminnych i zjazdów sędziów pokoju, skazujące dotychczas włościan na eksmisyę zajmowanych lokali, inwentarza itd., mogły być wykonywane przez wójtów. Obecnie wyszło rozporządzenie, że eksmisye takie muszą się odbywać w obecności komornika zjazdu.

Fałszerstwo win. Departament lekarski, zwróciwszy baczną uwagę na wzrastające fałszerstwo win zagranicznych i krajowych, przedsiębierze szereg środków zapobiegających tym nadużyciom. Wystąpiono więc z odezwą do ministeryum sprawiedliwości, aby w drodze prawodawczej wyjednać obostrzenie kar, wymierzanych na fałszerzy win, a mianowicie ustanowić karę aresztu od 1 do 6 miesięcy. Następnie urzędy lekarskie miejskie i gubernialne otrzymają polecenie dopełniania systematycznych rewizyj w składach i sklepach win. Jeżeli rozbiór chemiczny wykaże fałszerstwo, kupcy pociągani będą do odpowiedzialności sądowej, przyczem inaczej będą karani fałszujący wino bez szkodliwych dla zdrowia surrogatów, inaczej używający środków trujących.

Zmarli. Julian Laskowski, w Wilnie, więcej znany pod pseudonimem „Korabicza." Ur. 1826 r. Przed laty trzydziestu wydał poezye swoje pod nazwą „Białoruskiego Bandurzysty." Pisywał broszurki dla ludu. Podczas początków reformy włościańskiej dużo pracował na Litwie czynnie nad uregulowaniem stosunków między obywatelami ziemskimi i włościanami. Wydał kilka broszur pod pseudonimem Marcina Mizery. Pisywał do *Gaz. świątecznej*, *Gaz. polskiej* i *Gaz. warszawskiej*. Był redaktorem *Echa łomżyńskiego*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Января 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.